CHIMERA



TOM 5. ZESZYT 13. LIPIEC 1902
REDAKCYA I ADMINISTRACYA
WARSZAWA—NOWY ŚWIAT 22

TREŚĆ.

TOM V. ZESZYT 13. — LIPIEC 1902.

Klisze rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładzie chemigraficznym B. WIERZBICKIEGO i S-ki.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."
Składali FELIKS DĄBROWICZ i JÓZEF PERŻAK. Łamał FELIKS DĄBROWICZ.
Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — M. KUCHOWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Сентября 1902 года.

Pokłon trzech króli. Obraz szkoły cechowej krakowskiej z początku XV w. Własność kościoła św. Katarzyny w Krakowie.



CZĘŚĆ WSTĘPNA. *I.*

Czy śpiącego można przebudzić GRZECZNIE?.. Podobno, że nie: gdyby albowiem budziło się go upadkiem na twarz najlżejszego listka róży, jeszcze byłoby to tylko bardzo wykwintnie albo poetycko pomyślanem, lecz nie byłoby GRZECZNIE, bo, końcem końców trzeba śpiącemu przerwać snowania myśli jego — i to przerwać doraźnie, nie powoli, lecz nagle przenosząc go jednym ruchem w rzeczywistość i w oczywistość inną. Niemożna przeto z oczywistości jednej przerzucać nikogo w drugą sposobem GRZECZNYM, i pewne brutalstwo nieodłącznem zdawa się być od roboty takowej. Ztąd to głównie i pierwszorzędnie pochodzi ta odpychliwość, jaką na samym wstępie spotyka u ogółu każdy nowy pomysł

lub wynalazek, o ile jest początkującym lub posiłkującym nowe koło rzeczywistości i oczywistości; — budzić albowiem grzecznie w żaden sposób nie daje się. Owszem, większość ogromna spółczesnych, ażeby stanowczo uprzedzić wydarzenia i spoczynek utrwalić, starała się i bardzo pilnie stara uzasadnić i rozpowszechnić przekonanie, iż NIC NOWEGO pomyślanem i okazanem nie może być i że wszelka umysłowa w tym kierunku podejmowana praca przez to samo jest płonnym zachodem.

A co (należy ostrzedz) może się na pozór udowadniać z tej przyczyny, że, skoro wszystkość rzeczy i spraw świata tego w jedną harmonię jest obejmowana, — łatwo jest odwrotnie w tejże harmonijnej jedności dopatrzeć wszystkiego zaczątków, jakoby przeto już nic NOWEGO być nie mogło! Jest w tem jednak błąd ogromny, to jest: że ABSURDUM bierze się za NOWE... tylko albowiem ABSURDUM leży po za ogólnym prądem harmonii bytu wszystko ogarniającej. I wielokrotnie i do syta nasłuchany w tym względzie cudzych zwątpień, byłem raz użytym w delegacyi do jednego istotnie zasłużonego człowieka, któremu koledzy ofiarowali byli dobrze zasłużony medal. Rzecz tę cenną oddawałem w ręce uradowanemu i nie spodziewałem się był bynajmniej żadnych patetycznych utrudnień w tem poselstwie, osoba albowiem i prawdziwie zasłużoną była i szczerej prostoty pełną. Atoli, skoro uznawany i oceniony, przyjąwszy swój medal, począł starannie go obzierać, dostrzegłem nagle na jego licach przebłysk podobny do uśmiechu, pomieszanego z wiel-

ce głębokiem wrażeniem, — to zaś było tak dziwnie wyraziste, iż długo jeszcze potem nasuwała mi sama wyobraźnia ten psychologiczny obraz. Aż we wiele czasu po delegacyi, znalazłszy się raz bardzo poufnie z mężem, o którym tu się mówi, podniosłem umyślnie okoliczność i zapytałem o przyczynę szczególnego wrażenia...

—Rzecz jest niezmiernie prosta!—odpowiedział,— po pierwszy raz w życiu zobaczyłem czoło, usta i NOS WŁASNY w profilu... I, gdyby nie wasz medal, może, jak bardzo wielka liczba ludzi, położyłbym się w grób, nigdy pierwej własnego nosa mniej jednostronnie nie widziawszy. Ja, który przecież ze wszech stron piramidy oglądałem!.. Otóż, myśl mi przyszła była, że zaiste muszą być jeszcze rzeczy NOWE do okazania ludzkości, jeżeli, mówię, własny jej nos można zwiastować!

„ — szkoda wielka — rzekłem — że tego właśnie nie raczyłeś nam był powiedzieć — — “

„ — kiedy... jakoś... sam przyznaj, iż takich rzeczy się NIE MÓWI... “— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Są-ż zatem głębiny i stopnie szczerości ducha i oczywistości, które się jakoby SPÓŁMILCZENIEM ogółu uznawa, ale którym jawność spółczesna odmawia wygłosu, co okres, co wiek takowych to zmilknień nieuchronnie dla rozwoju swojej pełności potrzebując? Za całego okresu heroicznego greckiej filozofii, to jest, aż do Arystotelesa (lecz nie policzając tego mędrca), nikt nie pojmowałby takowej JAWNOŚCI-WZGLĘDNEJ, zakreślone z góry szranki mającej, ani ona komu wystarczałaby! Nieledwie że na ulicy zapytać było przecie można, co jest dusza? jak i ile nieśmiertelna? co życie i żywot? na co i dla czego filozofia?.. Zapytywany z niemniejszą odpowiadał prostotą — „tyle a tyle wiem, lub nie wiem; co

do filozofii, ta za cel ma uczynić człowieka MORALNIE SZCZĘŚLIWYM!“ *)

Starożytni NIE ZNALI WCALE pewnego rodzaju uśmiechu, który dopiero myśmy wynaleźli, a który też wynalazek nam przynosi niemały zaszczyt. To jest, oni nie znali uśmiechu zatęchłego umysłu i zupełnie zwątpiałego serca, z jakim odpowiadają dziś mędrkowie na zapytania ludzi naiwnych, świeżych i coraz rzadszych! — Zacny Dyogenes przeczuwał zbliżanie się tej epoki wtórej, skoro, w księgozbiorze akademii widząc zapracowanych starców, pytał, ktoby to byli?— Ci, co prawdy szukają — odrzeczono. — „Ah! a KIEDYŻ ONI BĘDĄ MIELI CZAS JĄ PRAKTYKOWAĆ!?..“ Te wielkie słowa jego i inne brzmiące żywo, jakby wczora rzeczonemi były, nie spotkały były na razie naszego spółczesnego uśmiechu i ostrzeżenia, iż „TAKICH RZECZY SIĘ NIE MÓWI...“ że do takich głębin wielkiego zadania bytowego nie zstępuje się — że WIEDZA (mianowicie od Arystotelejskiego podziału na umiejętności specyalne) ma zadanie inne... a JAKIE ZADANIE??.. tego się także nie mówi! — — — — — — — — — — — — — — — —

Słowem — że mądrość oczekiwać spokojnie winna na uzupełnienie wiedzy przez pojedyncze rozwinię-

*) I uczony Arystoteles podziela to dogmatyczne filozofów uznanie, że filozofii celem jest uszczęśliwienie moralne człowieka, — dodaje wszelako dwa jeszcze warunki, to jest, ażeby człowiek był URODZIWYM i POSIADAŁ MAJĄTEK (sic). — Jest to jeden z powodów, dla których mędrca tego policzamy do nowszego okresu. *C. N.*

cia umiejętności wszystkich, i że wtedy czas przyjdzie praktykowania prawdy! To jest bardzo piękne, tylko, z jednej strony, nie zaspokaja wcale, i owszem, prawie potwierdza Dyogenesa zarzut, z drugiej, jesteśmy w stanie zrobić tę małą uwagę, że podział na specyalne umiejętności zaskoczonym bywa i może być przez pojawienie się całych nowych umiejętności, których prąd i kierunek od naszego umyślnego systematorstwa nie zależy.

Rzecz szczególna! ze wszystkich mędrców starożytnych jedynego Dyogenesa powiedzenia wybrzmiewają nam do dziś jako utwory spółczesne. Moglibyśmy go nazwać HAMLETEM FILOZOFII, gdyby na myśl tęż samą nie wpadał był Plato, nazywając go „OBŁĄKANYM SOKRATESEM!“ Wszelako, omyliłby się bardzo, ktoby Dyogenesa poczytywał jedynie za improwizatora dorywczego i za bezkierunkowy jaki HUMOR. On nie jest dotąd jeszcze obejrzanym w całości umysłu swojego. Zwłaszcza, iż sam powiada: „Ja, przesadzając we wszystkiem i pełniąc nazbyt, - czynię to ku temu, ażeby ci, co przyjdą po mnie, nie potrzebowali PEŁNIĆ NAZBYT, LECZ W SAMĄ MIARĘ...“ Filozof, który to i z taką wyraża trzeźwością, nie jest samym tylko genialnym humorystą. Lecz planetarna wartość wielkiej Dyogenesowej gwiazdy mniej była i mniej jeszcze bywa ocenianą od jej błyskotliwych tęcz dowcipu. Na mędrcu tym zamyka się ta filozofia, którą ja HEROICZNĄ nazywam. Wedle tegoż uważania mojego, filozofia ta nie zaczyna się wcale od THALESA, lecz od AJSCHYLOSA dramatycznych

przedstawień, gdzie wykładało się posady mądrości tradycyjnej i wypowiadało IDEE POSTACIAMI, zaś zamyka się i kończy niemniej dramatycznie, jak ją Ajschylos początkował, to jest, zamyka się DYALOGAMI PLATOŃSKIEMI, tak, iż to, co sztuka nieledwie techniczna w Sofoklesie podziwia i ceni, nie należy bynajmniej do filozoficznego pochodu i rozwoju myśli Greckiej, lecz DLA DZIEJÓW SZTUKI zostawa. Gdy tymczasem Platoński DYALOG ludzi zwykłych, ludzi na ulicach Aten spotykanych, a poszukujących nieznanego Boga, prawdy i cnoty śród doczesnych i arcypotocznych bytu warunków, jest w prostej linii ostateczną jakoby rzeczywistością onych dyalogów Olympijskich, Ajschylowskich, gdzie sprawy i myśli ludzkiej jeszcze niema, gdzie święte i mądre FATA człowiekiem dla idei pogardziły. Pogląd ten, OSOBISTYM MOIM BĘDĄC, może nie znaleźć usłusznienia, ale usuwa on na swoje miejsce pojęcia SZKÓŁ, które sprawiedliwemi być nie mogą względem czasów, w których jeszcze szkół nie było i w których to, co później jedną ze szkół zowie się, było raczej powszechną ogólnością. SZKOŁY świadczą więcej o miejscu niż o ciągu rzeczy, a niekiedy są tylko nominalne. *)

---

*) Dla tak różnowzględnych przyczyn szkoły filozoficzne brały nazwy swoje, iż nie można wiele się na tem opierać. Np. szkoła ELEACKA (Veliacka) dla tego, iż w mieście VELIA trzech się filozofów narodziło było; — SZKOŁA ELIACKA (Phedona), która, przeniósłszy mieszkanie do ERETRY, zowie się i ERETRYACKĄ... Pojmujemy nazwę SZKOŁY JOŃSKIEJ dla wielkiej doniosło-

Także i dostąpiona z pochodem czasów doskonałość specyalna (np. tragedya Sofoklejska) nie godzi się ażeby przeto wstecznie upodrzędniać miała objaw pierwotny, bo ten pierwotny objaw, lubo zaczątkowy, miał także swoją doskonałość, będąc wyznaniem publicznem wiary i wiedzy swego czasu.

Czy, przez PRZYBLIŻENIE *(à peu près),* jak pierwotni czynili, czy (jak po-Arystotelejscy) przez SYSTEM, otrzymuje się i udziela słuszniej światło i dobro?.. Oto już pytanie etycznie kardynalne i wprost podejmujące zacny ów Dyogenesa utysk względem Akademickich pracowników, skoro widząc ich, prawdy szukających („QVAERERE VERVM“), słusznie wołał — „KIEDYŻ ONI CZAS BĘDĄ MIELI, AŻEBY ZNALEZIONĄ PRAKTYKOWAĆ!?“ Zaiste, jakniebądź i czujnie i spółpracowicie oczekuje człowiek na owe, których dostąpić mamy, doskonałości, zaręczone nam postępem, ulepszeniami potwierdzane i jaśniejące coraz nowym, coraz pełniejszym (lubo zawsze niewystarczającym) systematem, jednakowoż, tenże sam człowiek i spółcześnie zajmuje przecież także żywe miejsce w codziennej dramie doczesności, a na jej powołania odpowiadać i dopisywać onym jest obowiązany. Miałżeby on przeto jedną wiedzę podrzędną i zdawkową

ści żywiołu Jońskiego — ale czy na on czas cała umysłowa Grecya nie była Jońską?.. Szkoła ITALSKA jest tak dalece szkołą samej wielkiej osobistości Pytagora, iż po śmierci jego wyprzedaje się z rękopismów za pieniądze... i to PLATOŃSKA AKADEMIA zyskuje na owej pozgonnej likwidacyi. *C. N.*

na codzienne takie wypadki? — drugą zaś w zapoczątkowanych pracach ludzkości i jej spodziewaniu domniemaną? Jedną TYMCZASOWO POSŁUGUJĄCĄ, drugą OBIECANĄ... Ztąd obiedwie niezupełnie trwale mu właściwe, obiedwie warunkowe. Śród takich to wiedz i tak się znajdując postawionem, uważa człowieczeństwo za dobre używać częstotliwie, zamiast odpowiedzi, NIEWYPOWIEDZIANYCH ODWŁOK zdania, PRZEMILCZEŃ i NIEDOGŁĘBIEŃ wątpliwych. Atoli, takowe, właśnie że umyślnie czy przemyślnie NIEWYPOWIEDZIANE ODWŁOKI zdania, PRZEMILCZENIA i NIEDOGŁĘBIENIA, są przecież utajoną myślą, więc są tylko koniecznie niedopowiedzianym ciągiem rzeczy!..

Czy SYSTEM posiłkuje w czemśkolwiek prawdę? czy sprawdza ją albo jej świadczy?.. on, który zarówno rzeczom fałszywym jak niefałszywym może służyć!.. gdzie i poco wciąż nowe i zastępujące dawne systemata prowadzą, przewalając uprzedzicieli swoich?.. czy nareszcie system, sam w sobie uważany, kształci się także i postępuje?.. *Myślę*, że nie! albowiem, skoro system się buduje na pojęciu ZUPEŁNOŚCI, CAŁOŚCI I HARMONII, takowym brakować nic nie może; mógłby tylko na szerz postępować, coraz większą obejmując wszystkość następstw, pojawisk i szczegółów. I byłoby nareszcie do wnioskowania, że ostatecznem dostąpieniem doskonałości systematu musiałoby być jego porównanie z systematem świata naszego. W tem wszystkiem wszelako nic nam prostotliwie nie powiedziano dotąd, i dlatego z wątpliwością wyrażam

się. Wiem, że, czemuniebądź system służy, zawsze on nie większą, ani mniejszą cząstkę prawdy obejmuje, to jest, że, budując się na pojęciu CAŁOŚCI, ZUPEŁNOŚCI I HARMONII, jużci że wyrażać musi ideę SYMETRYI, MIARY i PROMIENNOŚCI... oto wszystko!..

Zaś, co do działania PRZEZ PRZYBLIŻENIE *(approximative)*, to wydawa mi się być najwłaściwiej doniosłym atrybutem ducha ludzkiego. Nie wiem, zaprawdę, czyli jest jaka forma działalności umysłowej odpowiedniejsza położeniu naszemu jak PRZYBLIŻENIE! Jesteśmy w każdym zmyśle i rozmyśle naszym otoczeni kryształem przezroczystym, ale uobłędniającym poglądy nasze. Podobno, że, cokolwiek czynimy, zagaja się, albo uzupełnia przez PRZYBLIŻENIE. Jesteśmy sami poniekąd nieinaczej istniejącymi na Planecie wirującym szybciej od uderzeń pulsu... A przeto, możnaby nawet rzec, iż działanie przez PRZYBLIŻENIE nie jest dla nas przypadkiem, lecz podbitym sobie warunkiem. *) Ztąd to, obejmując i jednocząc dwa wielkie klejnoty umysłowe, czyli: ROZWAGĘ UMIEJĘTNOŚCI I NIEROZWAGĘ INSTYNKTU PRZYRODZONEGO, jest ono zupełnie CZŁOWIECZEM. To też my, tak rzecz pojmujący, nie odpowiadamy PRZEMILCZENIAMI na pytania żywotne — bynajmniej...

---

*) Godziłoby się zapytać czynnego GENERAŁA, doświadczonego KAPITANA OKRĘTU, biegłego CZŁOWIEKA STANU, do ila oni w głównych i stanowczych działaniach swoich opierali się na BYSTREM *à peu près* — a o ile na systematycznem działaniu? *C. N.*

Po kilkunastoletnim pobycie w jednej z najświetniejszych stolic Europy, kolega mój, gdy miejsce miał opuszczać i skoro już wszystko do podróży przygotowanem było, rzekł do mnie: „Oto będę miał teraz nieco swobodnego zupełnie czasu, zechciej przeto o stosownej godzinie czekać mię jutro w małym parku przed budynkiem głównej Biblioteki — a ja będę się starał nadbiegnąć z jednej CZYTELNI (cabinet de lecture), gdzie mam jeszcze z kimś spotkać się i na papiery potrzebne okiem rzucić — poczem, zajdziemy też zobaczyć Bibliotekę... inaczej przecie wyjechać nie godziłoby się!..“

W słowach tych, zupełnie naturalnych, cóż usłyszał każdy obecny i wszelki spółczesny? a co usłyszał-

by milczący przez lat parę Pythagorejczyk?.. w tychże samych, mówię, wyrazach, które wszelako wystarcza cokolwieczek odmiennym wygłosić nastrojem, ażeby, piorunującą stawszy się satyrą, cały przedstawiły obraz błędu i nieszczęścia głębokiego naszej wiedzy i za nią idącej cywilizacyi?

To też prostem i logicznem następstwem stało się, że kolega mój niedopisał i spóźnił się. — Oczekiwałem go spokojnie w przyjemnym cieniu bukszpanów, patrząc na maleńkie dziecko złotowłose, bawiące się kamyczkami z piasku wygrzebywanemi ze starannością nieprzerwaną...

Skoro zaś oczekiwany nadbiegł wreszcie, już zaledwo wystarczyło nam czasu na obejście wokoło gmachu Biblioteki i na architektoniczne uznanie jego zalet. Otóż! — mówiło się, — skoro spojrzymy na te szerokie i rozszerzające się jeszcze bardziej masy pełnego muru, a spojrzymy ze stanowiska starożytnych literatur, czyli, że tak rzekę, kilku ksiąg sanskryckich i zendyjskich, kilkudziesięciu greckich i rzymskich, i hebrajskiej JEDNEJ I JEDYNEJ... zaiste, że sama się myśl, beznakłonnie ku temu, zapytuje, jeżeli nie: na czem skończyć ma ta nasza literacka płodność? to: na czem ona zatrzyma się i w co się odrodzi? — Będzież potrzeba, ażeby być jako tako, z gruba oczytanym, tyle pierw oczu stérać, ile ich zaniepodziewa w księgach swoich mandaryn chiński, do ostatecznego egzaminu przygotowujący się?!

Dziś — gdy jeżeli gdzie naprzykład dziewięć set peryodycznych pism wychodzi, to oneż dziewięć set

dzienników daje tyleż romansów i powieści, w felietonach, a przeto samych już romansów dziewięć set na rok, coś jakoby trzy na dzień, spotyka się... i to jeszcze, w jednym tylko kraju Europy i w jednej ze stolic!

— Dopowiedzieć co rychlej przynależy, że to zawsze jeden tylko romans, ów ostatni, ÓW INTERESUJĄCY ROMANS OBCHODZIĆ WINIEN, ów, co obchodzi wszystkich, i że to zawsze jedna tylko broszura, owa ostatnia, owa, która to zainteresowała wszystkich, ta jest tylko obowiązującą. I że nawet nie czytać można innych, a jednak być człowiekiem...*)

Tymczasem, niefortunnie rzucone i wdeptane w śmiecie osobistości moralnie zaniedbane, przy bladej świeczce, z trudem zakupionej, czytywać będą na dorywczo wpadłych im w ręce drukach to, co przypadek sam im nastręczył i w oczy cisnął przy zbytkowaniu i rozpuście umysłowej szczęśliwszych śmiertelników. I udarty jakiś kawałek papieru drukowanego świecić będzie tym chciwym rozwinięcia umysłowego oczom i sercom. Atoli, jak, według chińskiej karygodności, wybiera kat z podanego mu kosza pełnego nożów ten lub ów nóż trafem w rękę jego wpadający, a noszący na sobie napis — UCHO, NOS, OKO, SERCE... i wedle takowego to napisu zakrwawia go na członkach

---

*) Czytelnictwo opieszałe bywa naglonem napisami wykrzyknikowemi na rogach ulic: „CZYTAJCIE TO A TO!!“ — przyczem rodzaj ręki z palcem wskazującym ów nakaz w rysunku kolosalnym... rodzaj PIĘŚCI ściśniętej... „CZYTAJCIEŻ!! TEN ALBO ÓW NOWY ROMANS!“ — *C. N.*

skazanego; tak, nieszczęśliwy ów, a chętny ukształcenia umysł, tułając się za BEZ-CELNIE i BEZ-SZCZERZE postawioną pracą umysłową, natrafiać musi i natrafia na pojawy więcej daleko zakrwawień i RAN, niźli POJĘĆ mu przynoszące! — W całości zatem naszej umysłowej rzeczy jest coś sfałszowanego, coś zakłamanego powierzchownie i nieznoszącego szczerych prostych zapytań, jak to zwykło się zdarzać w fałszywych położeniach! Że albowiem wiedza, dla użytku jakowego bieżącego uprawiona, zawsze końcem końców musi ostatecznie, nawet przez otrzymane rzeczywiste swe owoce, służyć WIEDZY DLA WIEDZY, to jest tylko doskonałej architektoniki rzeczy umysłowych wypływem — lecz człowiek w tem, nic sam nie postanowiwszy, bywa tylko jakoby arcy-interesującą igraszką ciekawości bezgranicznej!.. ciekawości, która, jeżeli wycofanemu z interesów i dostatnio postawionemu w rzeczywistości, a przyjaznemu wiedzy umysłowi może robić przyjemność umysłową (zwłaszcza gdy innych przyjemności tenże już nie używa), to niekoniecznie dawa się (mówię) sama ona BEZDENNA-CIEKAWOŚĆ stawić rodzącej się, rosnącej i postępującej wciąż Ludzkości jako jedyny umysłowego bytu interes.

Człowiek chce wiedzieć: GDZIE? i PO CO PRACUJE MYŚLĄ?.. choćby tylko dla tego, że bez tej wiadomości niecała jego energia w dzieło zagaja się. Byłoby to zapewne czemś w rodzaju bardzo NIEGRZECZNEJ rzeczy, gdyby kto do spółczesnego mędrca słowa te wystosował:

„Racz powiedzieć, Mężu! czy człowiek może „WSZYSTKO WIEDZIEĆ?

„Czy oczekiwać on ma, aż wypojedyńczone umni-„ctwa dokwitami swojemi ostatecznemi stworzą wie-„niec i koronę światła? A tymczasem, czyli należy, „ażeby codzienne jego życie świadczyło zastałym nało-„gom lub przesądom i posługiwało przyjętym hierar-„chicznie pychom? — Mężu! rzeknij...“ *)

PARABAZA takowa, zaiste, że byłaby rodzajem NIEGRZECZNOŚCI, i to tem wyraźniejszej, że na samym wstępie (niniejszej CZĘŚCI PIERWSZEJ MILCZENIA naszego) dostatecznie się udowodniło, jak dalece jest niepodobieństwem śpiącego GRZECZNIE przebudzić.

Cypryan Norwid.

---

*) Na pytania te, z zupełną prostotą gotowi jesteśmy odpowiedzieć i poniekąd, dla umiejętnie czytających, odpowiadamy na nie w ciągu NINIEJSZEGO TEKSTU.— *C. N.*

Z utworów Kazimiery Zawistowskiej.

CZASEM MA DUSZA...

Czasem ma dusza, jakby świetlna grota,
Godowych świateł nieci krąg olbrzymi.
I mar wygnanych wraca rój pielgrzymi,
Przez umajone wraca zielem wrota.

Wchodzących wita gędźba lutni złota,
W struny uderzył ktoś kwiatami wiosny,
I grają wszystkie, grają hymn miłosny,
Grają jak słońca zawrotna pieszczota.

Grają zaklętym w dźwięki aromatem
Łąk pokoszonych — i niw kłośnych gwarem,
Szumem rzek jasnych — nadbrzeżnym szuwarem,

Krasą motyli — bzów zroszonych kwiatem. —
Grając mi, niosą zapach leśnej gluszy
I wszystkie wonie mej dziewczęcej duszy.



A.B.

EPITAPHIUM. I.

Długie czarne warkocze, więzione w twej dłoni,
W złocie jaskrów zerwanych u leśnej krynicy —
Roje białych motyli, sznur kwietnych jabłoni,
Pierwszy urok upojnej dziewiczej świetlicy.

Do twych kolan się dusza rozmodlona kłoni,
Śpiewając ci pokorny hymn oblubienicy,
Ów z łez-pereł spleciony i kwiatowych woni
Nieśmiertelny różaniec miłosnej tęsknicy.

Długie czarne warkocze, a na nich twe dłonie...
Czasem czuję je jeszcze i brzemię lat znika,
I przeszłość się jak muszla perłowa odmyka,

By wspomnień nagie ciernie białym stroić kwiatem,
I oddycham znów róży purpurą i latem,
I widzę złote jaskry i białe jabłonie. —

II.

Ze spichrza swojej duszy wziąłeś dziwne ziarna,
Aby posiać w mej duszy ugory jałowe,
I popatrz, jak się pleni ta siejba ofiarna,
Jak bujnie młode pędy krzewią się cierniowe.

Białe kwiaty tęsknoty jako mgła oparna
W kielich smutku wsączają sznury łez perłowe,
I chyżo wzrasta, chyżo roślinność cmentarna,
By drzewo twojej męki owinąć krzyżowe.

Jeśli zechcesz, ja przyjdę... i na krzyż twej męki
Moja dusza upadnie jak poświetl księżyca,
I wszystkie łzy twe weźmie na swe białe lica,

I jak z harfy zaklętej dobędzie z nich dźwięki,
I przejdę przepaść tęsknot dzielącą nas czarną,
Boś mą duszę zapłodnił swą siejbą ofiarną. —

III.

O maków purpurowych, kraśnych maków kwiecie!
O usta całowane, drogie usta twoje!
Złote życia na oścież otwarte podwoje,
Słońce! Słońce w upalnem rozgorzałem lecie!

Słońce, słońce! I maków purpurowych kwiecie!
Pszennych łanów poszumy, pszczół grające roje!
I usta całowane, drogie usta twoje,
I w lipowych alejach kwietniane zamiecie!

Harfo wspomnień! twe struny z rdzy krwawych korali
Dłoń moja dziś otrząsa, ogrzewa, rozzłaca,
Lecz melodya ta dawna, słoneczna nie wraca,

Tylko motyw tęsknoty snuje się i żali...
A ścichłe, obumarłe, jak cmentarni stróże,
Więdną maki w królewskiej zszarpanej purpurze.

POWROTNA FALA.

O powrotna łez falo — o powrotne głosy
Z pogrzebanej przeszłości — dłoń szczodrych szafarzy
Złoto w kontur pobladłych dziś rzuca miraży,
W urnie stygłych popiołów nieci iskier stosy.

O sny zwiędłe! O kwiaty otrząśnięte z rosy!
Jak tłumnie z rozespanych wstajecie cmentarzy.
Ruczajów błękit widzę w niezabudek twarzy,
Jaskrami rozzłocone widzę sianokosy.

O powrotna łez falo! Widzę, idą z mroków
Baśnie ku mnie i wonie z ogrodów młodości.
I stoję nadsłuchując, czy szelest tych kroków

Twego przyjścia nie głosi — Ty, pełna litości!
Ty, co duszom, na które czerń Twych skrzydeł padła,
Dajesz takie czarowne przedśmiertne widziadła!..

UMARŁEJ DUSZY.

Wieniec ci plotę — w szmaragdy mirtowe
Plotę dziewicze uskrzydlone pąki
Zerwane z Marzeń mistycznej Twej Łąki,
By ci owiły skrzydła Ikarowe.

Twe skrzydła? Duszo? Patrz, w białą osnowę
Skrzydlatych pędów pną się kwiaty ziemi
I biel ich gniotą barwy jaskrawemi —
W purpurze szału — brutalne — zmysłowe.

Piłaś ich wonie?.. Spragniona i głodna?
Duszo ma? Duszo z żaru i pieszczoty —
Mętną strug wodę lałaś w puhar złoty?

I toast życia wychyliwszy do dna,
Smutna do śmierci, pochyliłaś głowę
Na twe opadłe skrzydła Ikarowe. —

CIENIE.

Idźcie z mej duszy — idźcie drogą mleczną —
Po gwiazd gościńcu — a na wasze głowy
Deszcz niech upadnie — wonny — jaśminowy —
Budząc kapelę dźwiękow nadpowietrzną.

Idźcie z mej duszy w krainę bajeczną,
Bo, raz umilkłszy, wasz śpiew bezechowy
Ów łuk przymierza rozerwał tęczowy,
Łuk, co był rzucon w mą duszę słoneczną.

Dziś dusza moja jest cichym grobowcem,
Wy, jak motyle w grobowcu zbłąkane,
Ranicie skrzydła o granitów ścianę.

Idźcie więc, Cienie, chłonąc blask i wonie —
Bo tu kolumna tylko gromnic płonie —
I dym kadzideł wonieje jałowcem…

EPITAPHIUM.

Czy nad Twą łodzią także lśniły zorze —
Żrenice Boga w trójkątnej oprawie?
Czy łódź Twą także w pian srebrnych kurzawie
Z pieśnią tryumfu w dal porwało morze?

I czy Ci także o zbyt wczesnej porze
Pogasły światła, a w strzaskanej nawie
Tylko zbłąkane wołały żórawie?
Twe sny — żórawie bezdomne w przestworze.

Łodź Twa nadpływa? Rzuć w nią marzeń tęcze,
Z łez tkane tęcze — rzuć w nią — niechaj płynie
Z trumną Twej duszy. W szafirów głębinie

Niechaj utonie — a przez fal obręcze
Raz jeszcze ujrzy, nim padnie w otchłanie,
Swej pierwszej zorzy przejasne świtanie.

ZNUŻENIE.

Czerń skrzydeł Twoich kładziesz mi na lica —
A przez tych skrzydeł okiennicę czarną,
Miast patrzeć w słońca ulewę pożarną,
Ja w chłodne srebro patrzę fal księżyca.

Jaki tam spokój i jaka tęsknica! —
Ponad tą ziemią wystygłą, cmentarną,
Cisza swą lampę roztliwszy ofiarną
Światłem ją próchen poi i podsyca.

Jaki tam spokój — bez miary — bez końca —
Siedziba duchów odesłanych z ziemi.
Duchy, co ziębły wśród powodzi słońca,

Cisze te chłoną oczyma sennemi
I, zaświatowy czując wiew błękitu,
Zastygłe, martwe, przędą sen niebytu.

Z WIZYJ PIEKIELNYCH.
(PIEŚŃ V PIEKŁA.)

O ten orkan chłoszczący! Jak smaga! Jak żenie!
Jękami huraganu w dal bezkresną pędzi
To stado białopierzne — ten łańcuch łabędzi,
Za niesytość rozkoszy potępione cienie!..

O ten orkan piekielny! Jak smaga! Jak żenie!
Włos wichurą skłębiony w ostre skręca bicze,
Siekąc, krwawiąc nim trupie kochanków oblicze,
Pośród gromu — wśród jęku — gna ich w dal — w prze-
[strzenie.

O skłębionych ciał taniec! O kolebki-łona!
Pośród mordów — zgliszcz — pożóg, wstęgo ust czerwona!
Światowładna ust krużo, w proch waląca mury!

O dłoni całowanych — dłoni białych — sznury...
Jakóbowej drabiny wszechmożna potęga!
Wir ciał ludzkich — krzyk piekieł, który w niebo sięga!..

TOBIE.

Daj mi sny twoje — daj ten sen skrzydlaty
O mnie prześniony — ja chcę duszę własną
W jego zwierciedle ujrzeć cichą, jasną,
Rozkołysaną jak mgły srebrnej kwiaty.

Wprowadź mnie jeszcze w kryształne zaświaty,
A tam, twą dłonią poruszone smutnie,
Niech się rozdźwięczą wszystkie ścichłe lutnie
W ów akord nagle zerwany przed laty. —

Wówczas mnie ujrzysz raz jeszcze wyśnioną,
Raz jeszcze wszystkie pogasłe w ukryciu
Perły mej duszy tęczowo zapłoną,

I jedną cudną dam ci chwilę w życiu,
Chwilę jedyną — bo potem w noc ciemną
Pojdę, byś nigdy nie spotkał się ze mną.

I.

Bądź ty mi dobrym — zejdź sercu mojemu
Jaśnią podobną ciepłu słonecznemu —
Bądź duszy mojej morzu burzliwemu

Kojącą ciszą wpółsennej zatoki,
Zwartej łagodnie gór kwietnemi stoki...

Bądź ustom moim jak trunek miłosny,
Po którym serce skwita kwiatem wiosny!
Bądź ustom moim słodki i litosny...

I na te usta, do twych ust tęskniące,
Kładź się jak rosy napoje rzeźwiące.

Bądź oczom moim czarem wizyj sennych,
Wyprzędłą baśnią miraży promiennych,
Wonnem pąkowiem zieleni wiosennych

Opleć mi duszę jak uroczne ziele,
By w ślad stóp moich chodziło wesele...

II.

Chciałabym, z tobą poszedłszy w zaświaty,
Wtulić się w jasność jakiejś białej chaty.
I wszystkie słońcu skradzione uśmiechy
Wpleść w miękkie złoto jej żytniancj strzechy.
I w takiej chacie odciętej od sioła,
Pojąc się ciszą rozlaną dokoła
I patrząc codzień na wstające zorze,
Czuć w duszy własnej to Królestwo Boże
Wielkiej miłości — i czuć przy swej głowie
Twą głowę piękną jak młodość i zdrowie.
I zapomniawszy, czem wpierw było życie,
W zaczarowanym swej duszy błękicie
Prząść z nieskończonej kądzieli Wieczności
Nić promienistą Wiary i Miłości.

III.

O przyjdź ty do mnie — bom dziwnie samotna.
Noc się nade mną rozełkała słotna
I dziwnie jestem w tej nocy samotna...

Strugami deszczu mży mgielna szaruga.
Noc pełna cieni, wystygła i długa,

Przezgonnych psalmów snując hymn pokutny,
Łka w strunach deszczu w rytm niezmiernie smutny,
W mgłach odrętwiałych łka swój hymn pokutny.

I jak wid śmierci leci mi nad głową
Ta noc rozgrana ulewą deszczową...

Więc przyjdź ty do mnie — przyjdź w tę ciszę mroczną,
A oczy moje przy tobie odpoczną,
Oczy zasnute mgieł oponą mroczną.

I wzlecę w jasne oczu twoich głębie,
Jako za światłem tęskniące gołębie.

I spiję niebo z gwiazd złotemi ćwieki!..
I przymknę pjane rozkoszą powieki.

Wypiwszy niebo z gwiazd złotemi ćwieki!

. . . .

KRÓLESTWO MOJE.

Królestwo moje nie na tej ziemi,
Fale je skryły grzywy piennemi,
Ląd mój słoneczny, jasny, pogodny,
Nurt oceanu zatopił wodny.

Lecz z mego lądu w mroków godzinie
Stłumiona gędźba stu dzwonów płynie.
Lecz z mego lądu przez fal obręcze
Grają mi pieśnie i świecą tęcze.

Bo na mym lądzie skarby bezcenne,
Koronne złota i berła lenne.

Bo po mym lądzie chodzą tęsknoty
I do mej duszy klucz dzierżą złoty.

I kiedy słabną jej skrzydła znojne,
Władcze jej kładą szaty dostojne
I jasnowidzeń dają źrenice,
By, w swe królewskie patrząc dzielnice,
Żyła tęsknoty porywem wiecznym
Za utraconym lądem słonecznym.



(Dokończenie.)

Biesy.

Było to za czasów mej manii samoprześladowczej. — Żyłam w bezwzględnej duchowej samotności, jak łódź od okrętu oderwana od społeczeństwa, które mnie wydało, obca zarówno jego najliczniejszym i najmarniejszym, jak i jego szczupłym i wytwornym grupom,—a zbyt niedojrzała i ciemna, by stworzyć własną, lub żyć w świadomym z gromadą rozbracie. — Dziś jest on dla mnie jasnym — i gdy spojrzę wstecz, w gehennę mojej młodości, — to w przyczynach tych mąk niewysłowionych niema dla mnie tajemnic. — Widzę siebie, dzikie źrebię stepowe, z żywiołowym instynktem wolności, nieznoszące uzdy, bodaj tkanej z pajęczyn i jeżące się niepohamowanym buntem pod najlżejszem dotknięciem tresury; — widzę siebie, dzikie, wol-

ne, głos własnej natury jedynie rozumiejące źrebię — zagnane na rozległe, lecz pełne ogrodzeń pastwisko społeczne, między uklasyfikowane kojce i przegrody, ciskające się co krok o drewna płotów, — wpadające między zgorszone stada, wypędzane zewsząd połączoną siłą kopyt i rogów, — tratujące zboża i winnice, — gnane batem pastuchów to w jeden opłotek, to w drugi, — sadzące przez rowy, kopce, karki, — daremnie w rozpacznym popłochu szukające zgubionej drogi stepowej...

...aż nagle wpadło w jakiś głęboki dół kompostowy, gdzie wrzawa becząca i rycząca ucichła, — gdzie się zamknął horyzont i wyprostowały ironicznie strome ściany samotności. — Dzika to, nieświadoma, ze skamieniałym układem świata rozdźwięczna wolność mej natury wygnała mnie była wówczas na pozaspołeczne pustkowie i osadziła bystrą łódź młodzieńczą na mieliźnie wygnania. — Było to zjawisko proste i nieuniknione, — wtedy jednak dręczyło mnie jak niedocieczona zagadka i przyprowadzało do stanu graniczącego z obłędem. — Dusza moja była nieopisanym chaosem. — Samotność, matka wiedzy i potęgi, zamieniła się dla mnie w jędzę, mieszającą szalej do chleba i wody, — gdyż była mi nie towarzyszką z pragnienia, potrzebą duchową, — lecz obmierzłą, zewnętrzną koniecznością, wynikiem przyczyn niepojętych — i gwałtem zadanym mej rozwścieczonej żądzy życia. — Było to okropne życie ziarna, przywalonego górą piachu, przez którą z śmiertelnym mozołem przebijało się żywotne źdźbło. — Było to przedzgonne szamotanie się szczenięcia, rzuconego do gnijącej studni, o wysokich i zagrzybionych ścianach: — nieustająca i daremna praca wydostania się na powierzchnię — i wybuchy rozpaczy, przerywane wybuchami wściekłości. — Pragnienie ruchu i czynu, tajemnicza niewola w więzieniu z odwróconych pleców, bezimienna krzywda, nieuchronność zagłady — wszystkie

biesy wyły we mnie, ciskały się w stęchłym lochu, wydrapywały kłami i pazurami szczeble, — a gdy, zbroczone krwią, padały na bagniste dno swej piwnicy, — to zbierały się na wiec — i — by nie poszaleć — usiłowały zgadnąć, jaka moc fatalna zepchnęła mnie w tę nędzę bez wyjścia — i jakim sposobem mogłabym się z niej wydobyć. — Lecz te narady, zamiast prowadzić do praktycznej mądrości, — uświadamiały mi tylko głębiej i okrutniej moją nieznajomość świata, życia z ludźmi i swojej własnej duszy, — stwarzającą zaczarowane koło, którego przestąpić nie byłam w możności. — Nie umiałam w niem także żyć. — Paląca ciekawość świata społecznego, głód wrażeń do przeżycia, kąpieli w burzliwych potokach, nurka pod spiętrzone fale, wyścigu, walki, hartowania się, zaczarowań, pracy i uciech gromadnych, uświadomienia się przez doświadczenie, zobjektywizowania się w życiu czynnem, zmierzenia swego JA z NIE-JA, — młodzieńczy, żywiołowy GŁÓD ZEWNĘTRZNOŚCI pastwił się nade mną we dnie i w nocy. — Jak zagłodzone zwierzę zjada własne tkanki, tak duch mój, oszalały łaknieniem RZECZY, pożerał własną siłę. — Kołowałam jak obłąkaniec po ulicach miasta, hypnotyzowana czarodziejsko kwitnącym dla mych oczu światem ludzi, — i z uczuciem niewypowiedzianej wzgardy dla swych bezsilnych pożądań, dla swej rozpaczliwej tęsknoty. — Brak bezpośredniego krzywdziciela kazał mi winowajcę widzieć w sobie, w swem niedołęstwie, czy zwyrodnieniu. — Darła się we mnie podeptana duma, czułam się wyrzucona z łona świata jak zdechła ryba — lub nieudana próba natury, — skazana na wymarcie, na dożywotni, łaskawy chleb piwnicznej wegetacyi. — Obojętność tłumu suggestyonowała me rozdrażnione nerwy i ociemniałe myśli, — niszcząc we mnie poczucie mej wartości i siły, mych zdolności rzetelnych i jedynych, mego PRZEZNACZENIA. — Znienawidziłam własne je-

stestwo, przeklinałam godzinę swego poczęcia, — wydałam szyderstwu duszę swoją na urągowisko i krzyżowanie — i po raz pierwszy nicość wydała mi się dobrodziejstwem: — takim samobójczym wstrętem napawała mnie moja niedola.

Dzień wlókł się za dniem, przynosząc tylko rozmaitość głodowych obłędów. — Żądza życia, jak wilk, wpadała w stado moich myśli i zmuszała je do popłochu i ucieczki, — wprowadzała nerwy w nieustanne drganie, wypędzała mnie z domu na ulicę i z ulicy w znienawidzoną pustkę domu. — Wewnętrzny szał mącił mi przed oczyma litery książek, odrzucał od pracy i ciskał na podłogę w konwulsyjnej agonii rozpaczy. — Bezsenność, wynik bezskutecznej szarpaniny z losem i własnym demonem, stawała się ostatnim żywiołem mojego nieszczęścia, i groziła zupełnem zniszczeniem. — Rozszerzała mi ona źrenice w ciemnościach i kazała oglądać bez końca ten nędzny szmat drogi, przebytej od dzieciństwa, znaczonej kamieniami głupoty i klęski. Zmuszała mnie do przeżywania po raz tysiączny całej ohydy cierpień znienawidzonych i budziła dreszcz odrazy dla tworu, który tylko takie życie stworzyć umiał. — Pod chłostą niemilknącego szyderstwa wiłam się jak skrępowane i katowane zwierzę, błagając własne ciało o zapomnienie senne. Lecz sen uciekał od wyklętego domu, a drzemanie przynosiło z sobą zgrozę widzeń strasznych, — a w budzące się przerażeniem oczy wzierała wyschłą twarzą jędza beznadziei.

Zdawało mi się często, że stoję na bezludnym placu, zamkniętym wymarłemi domami — i przerywanym tu i owdzie długiemi, także bezludnemi, ślepemi zaułkami, biegnącemi wśród skał tajemniczej warowni. — W te zaułki rzucała się moja żądza życia, w dzikim pędzie z obawy przed nagłem zatrzaśnięciem jakichś wrót wybawczych.— Lecz prędzej czy później trafiała na przeszkodę zagradza-

jącego muru i wracała z ponurem czołem na pusty plac swej samotności.

Jednym z takich zaułków była ŻĄDZA POTĘGI. — W pijanem bezsennością majaczeniu zrodziła się myśl, że życie odpada od tworów słabych jak pijawki od trupa, — i że więc przyczyną mego opuszczenia jest słabość. — Lecz gdzie jej źródło? By dotrzeć do niego, zapuściłam się w swój świat wewnętrzny. — Lecz cel praktyczny był mi złym przewodnikiem, mącił bezstronne widzenie, prowadził do odkryć fałszywych. — Oczy moje, obłąkane pragnieniem, przekształcały pozór zjawisk, — a ręka niecierpliwa czynu pustoszyła je barbarzyńską maczugą. Najpiękniejsze drzewa, najśpiewniejsze ptaki, najwynioślejsze skały budziły mą najdzikszą zaciętość. — Wyobraziłam sobie, że potęga tkwi w niegodziwości, i wiedziona WOLĄ DO ZŁEGO, znienawidziłam wszystko piękno swej duszy, jako słabe kwiaty, niewspółmierne z ciężkim młotem życia; — zaś otoczyłam staranną opieką wszelką pleśń i jad, wszelkie kłamstwo i niskość, widząc w nich siłę przyciągającą i broń zdobywczą. — Sądząc się zbyt ubogą w pierwiastki zła, jęłam podpatrywać swych bliźnich, wykradać im ich występki i krzewić je w sobie. — Przyjęły się i wzrosły zrazu bujnie, — lecz potem spostrzegłam ze zgrozą, że grunt, w który zostały przesadzone, zmienił ich naturę; że te chciwe, suche ciernie rozkwitają we mnie trującym mnie tylko kwiatem melancholii; że pleśń i jad zdolne są podkopywać tylko własne korzenie, — że kłamstwo staje się we mnie igraszką intelektualnej przewrotności, — a podłość zamienia się w śmiertelnie smutnego pajaca ironii. — Lecz wiele minęło czasu, zanim przejrzałam.

A wówczas pragnienie siły jęło się przedzierać przez inne jeszcze puszcze myślenia.—Złożądna przebiegłość i zręczne manewry wirtuozów powodzenia są niczem (rozumowałam), — gdy nad niemi dowództwa nie obejmie wola że-

lazna, prosta,ześrodkowana. — Taka do ostatnich granic skoncentrowana wola mogłaby się nawet zupełnie obejść bez poniżających sposobów praktycznych, działałaby bezpośrednio na przedmioty i bieg zdarzeń, — jednem „STAN SIĘ!“ osiągałaby swój cel. — By zdobyć tę moc czarodziejską, rzuciłam się do książek. — Na pierwszej zaraz stronie widniał napis: WYRZECZENIE. — Hasło to padło w tłum mych rozżartych pożądań i zostało powitane grubiańskim śmiechem, kamieniami i błotem. — Ciemnej i nieszczęsnej gawiedzi instynktów zgrzytało jak naigrawanie to słowo niewczesnej mądrości. — Znalazły się wśród nich subtelniejsze, sofistyczne głosy demagogów, skłonnych do dysputy z hypnotyzującem przykazaniem Magii. — Wyrzeczenie — (tak prawili) — jest aktem możliwym dla duszy zawiedzionej, nie zaś pragnącej. — Duch się doskonali poddaniem pokusie, gdyż pokusa zawsze zawodzi, jeśli się jej usłucha, — a w tym zawodzie tkwi zaród nowego pragnienia, już wyższego rzędu. „Zadowalać“ żądze znaczy doprowadzać je do absurdu, więc niszczyć je, wydzierać im żądło ponęty, podczas gdy głodzenie ich w sobie wytwarza marną i przewlekle niepokojącą poezyę grzechu. — A na te słowa demagogów — żebraczy, oszalały tłum żądz zgrzytał i wyciągał pięści, złorzecząc życiu próżnemu pokus, mogących wyczerpać ich wściekłe wrzenie, ich niski i zabójczy głód — i wieść drabiną coraz wyższych rozczarowań aż na chłodny szczyt bezwzględnej, doskonałej, boskiej obojętności.

Usiłowałam więc potęgę znaleźć na innych drogach, porzuciłam ścieżki lodowcowe i rzuciłam się w nurt samodoświadczeń. — Hartowałam swe tchórzowstwo i współczucie, pędziłam przed siebie zasapaną gnuśność, wywlekałam na jaw nietoperze fałszywych wstydów, urągałam rachitycznej próżności, — połamałam w sobie wszystkie zgniłe płoty, puściłam z dymem walące się rudery — i na

ogołoconym placu rzuciłam na siebie hordy nagich pragnień, by z ich śmiertelnej walki poznać zwycięzcę, — tego, który miał skupić w wolę nadludzką wszystkie siły mej istoty i pożarciem reszty żądz urość w wielkoluda. — Lecz walka została nierozegrana, gdyż żądza życia, jak ameba, zmienia swój kształt zależnie od pokusy, — i dopóki żyje w nas bodaj jedna chuć — żyją wszystkie. Potęga zaś przychodzi, gdy jej głód żaden nie woła...

Zaczem przyszła mi jeszcze myśl inna, — zuchwały pozornie, w gruncie kompromisowy zamiar odtworzenia w obrębie mej istoty makrokosmu, — przyjęcia rozłamu mej istoty na boską i ludzką, na wiekuistą i stworzoną, na kontemplacyjną i czynną, na rozkazującą i uległą.—Zamarzyłam o wyodrębnieniu z chaotycznej masy mego jestestwa, bez niszczenia tejże, uwięzionego w niej Ducha, wszystko wiedzącego i mogącego, w zakresie tolerowanych, lecz zmuszonych do ślepej uległości, duszy i ciała, — i używającego ich jako narzędzi do DZIEŁA ŻYCIA. — Rozumiałam już, że samo zło i samo dobro nie mogą stanowić mojej siły ani przewodnika, lecz przystałam na ich istnienie w sobie podrzędne, jako na elementy mojej psychy, — i wyrzeczenie zastąpiłam KARNOŚCIĄ. — Duch mój, moje jakby numenalne JA, wyższe ponad zło i dobro, miało rządzić we mnie dyabłem i aniołem dla celu własnego uświadomienia, jako wyższy od nich DEMON POTĘGI. — Po ćwiczeniach w cnocie i niegodziwości była to próba syntezy, — po walce bezowocnej instynktów przeciwnych — usiłowanie przymierza między ziemią i zaświatem. — Nie stracić ani jednej uciechy zwierzęcej, ani jednego bicia serca, ani jednej kropli upajających trucizn znikomości, — a stopić je w kryształ mądrości i w rozkosz wyższej harmonii; — być sobie samej rozhukanym źrebcem i jeźdźcem o udach stalowych a orlim wzroku na plan nieskończonej drogi; — wzburzonem morzem i nieruchomą gwiazdą, ręką i topo-

rem, — Prosperem i Kalibanem. — Pomysł ten olśnił mnie, porwał. — Rzuciłam się namiętnie do urzeczywistnienia go. — Drgałam męską radością, uświadamiając sobie, jakiego ogromu energii mi potrzeba, dla obdzielenia w sobie tych dwu gigantów mocy, — ile mądrości tęgiej, przenikającej, by nie zbłądzić w wyborze chwili i narzędzia. — Rozmyślałam, na jakiem prawie zasadniczem oprzeć ten wybór, jakiem światłem przyjść w pomoc ślepemu instynktowi, jak wzmocnić go i uczynić nieomylnym TAKTEM wyższego rzędu, — taktem MĘDRCA-DZIAŁACZA.

Trzeba było przedewszystkiem poznać siebie, jako rynsztunek wojenny. — Teraz chwytał mnie w swe zagadkowe labirynty drugi zaułek: POŻĄDANIE SAMOWIEDZY. — Po raz wtóry zapuściłam się w swój świat wewnętrzny, — i tym razem nawet bez szpagatu korzyści praktycznej jako przewodnika. To też długie to było i straszne błądzenie, — po ruchomych, ustępujących pokładach tajemniczej i niezgruntowanej głębiny, wśród tumanów widmowych i dziwnokształtnych zjawisk. — Nieprzebitą noc rozdzierał oślepiająco płomienisty świst przelatających strzał kometowych, w dusznym mroku chwytały mnie stalowe szpony i włochate łapy potworów, które, za ujęciem, więdły mi w rękach na kłaki wilgotnie gnijących korzeni, — w przestrzeni świtały fosforycznie i nikło upiorowe gamy kształtów, załamujących się jak fala morska w coraz nowe, wciąż zmienne linie i wyrazy, — śpiewne pogwary rosły w zgiełk, ryk i wycie, urywane nagłą maczugą milczenia, by z pod obucha wypłynąć żałosnem szeptaniem wód pluskających. — Żaden obraz nie trwał w mem spojrzeniu, każda masa rozpływała się w mych palcach, każdy ton rozszczepiał się w uchu, — mgła stawała się głazem, głaz rozsypywał się w mrowisko, — miłość zgrzytała nienawiścią, abstrakcya zabarwiała się lubieżnie, żądza była wodnym pęcherzem, okrywającym próż-

nię; — każdy instynkt, uczucie, myśl, były jakimś potworem milionokształtnym, odradzającym się z najdrobniejszej części. — Tu nie było części i całości, tu całość była ułamkiem i każdy atom zawierał w sobie wszystkość. — Tu nie było granic, początku ni końca, skutku ni przyczyny. — W tym chaotycznym organizmie mózg płynął z krwią w żyłach, — płuca wzbierały po za gardło i dyszały na powietrzu, ogromne i sine, — serce wpijało się we wnętrzności, włosy zamieniały się w ręce, — a z ramion wyrastały głowy. — Każda chwila przynosiła nową zmianę, potworną lub cudowną, tajemniczą lub prostacką, — a czujność moja, w tym świecie baśni ohydnej i dręczącej, traciła poczucie rzeczywistości, zamierała omdleniem—i ocknąwszy się z urzeczenia, rozglądała się zdziwiona po naiwności i nieruchomości zewnętrznego świata.

Czem jestem? jaka jestem? zostawało mi w głowie z tych błądzeń po piekle. — Wewnętrzna analiza była jaskinią bez wyjścia. — Tam wszystko było jednorodnym, nierozwikłanym chaosem, — wieczną autozagadką wewnętrznego, niezredukowanego czucia. — Umyśliłam więc zdobyć samowiedzę inaczej: ujrzeć się OD ZEWNĄTRZ, objektywnie, perspektywicznie, NA WŁASNE OCZY; — poznać widzialny kształt tej przelewnej treści, — i po oznakach konkretnych dojść do osi pacierzowej, do planu swego ustroju duchowego. — By dopiąć celu jęłam gromadzić suche fakty swego życia, — ogołacać je z wszelkich naleciałości myślowych, — by tak spreparowany szkielet postawić przed swój sąd bezstronny. — Lecz ta bezstronność, na przekór wszelkim usiłowaniom, była zawsze tylko przypuszczalnem wczuciem się w przypuszczalną psychologię tłumu, nie zaś tym doskonale abstrakcyjnym sądem, który mi był potrzebny. — Ten sam, a raczej o wiele prawdziwszy skutek mogło mieć odniesienie się wprost do opinii ludzi. — Nie wzgardziłam i tym środkiem. — Urządzałam w tym kie-

runku liczne i dość pocieszne interviewy, — zbierając ich sprzeczne i naiwne sądy, zgadzające się jedynie na punkcie mej INNOŚCI. — Lecz co oznaczała ta inność? — W jaką stronę odchylała się od ogólnego typu? — Nie znajdowałam na to objaśnień, to też wkrótce wzgardziłam niemowlęcym bełkotem świadomości swych bliźnich i szukałam klucza tajemnicy w bezpośredniem ich wrażeniu. — Zatapiałam w nich groty spojrzeń, wywlekałam przed nimi swe uczucia i myśli najskrytsze, — działałam na nich czynem, — by zbierać ich reakcye; — pochylałam się nad nimi jak nad zwierciadłami dla ujrzenia w nich oblicza swojej duszy. — Lecz ich duszyczki były zadymionemi lusterkami, — ich serca pustym wąwozem, gdzie zamiast odpowiedzi tłukło się zdziwionem echem moje własne pytanie, — lub wymateracowaną celą, w której głos mój brzmiał głucho, tępo — i marł podcięty. — Tępość ta, budząc we mnie gniew, kazała mi urągać im szyderstwem i wzgardą. — Chciałam odpowiedzi, dowodu W NICH, czem jestem, bodaj przez jęk, wściekłość lub krzywdę. — Lecz oni nie jęczeli, nie mścili się. Oni tylko — uciekali... jak przed wściekłym psem, przed rozjuszonym żebrakiem, uciekali wszyscy razem, ująwszy się za ręce, z ironicznym śmiechem odwróconych twarzy, — zostawiając absurd próżni powietrznej mym zdumionym szałom, mej podniesionej pięści...

Przez pewien czas usiłowałam zastąpić sobie nauki ludzkiej bezpośredniości, zbyt ciasnej, wskazówkami swojej własnej, — przez zmuszenie interwencyi t. z. rozumu do zupełnej bierności i postępowanie ślepo uległe t. z. „głosom wewnętrznym,“ nieobliczalnym impulsom, głuchym pchnięciom swej nieświadomości. — Dawałam się im powodować jak spirytysta swojemu medyum, — i z przedziwną ciekawością popełniałam czyny niewytłómaczone, wypowiadałam słowa niezrozumiałe, szłam za najciemniejszym

wątkiem wyobraźni lub serca, śledząc uporczywie rezultaty swej nieświadomej cerebracyi, jej związek z życiem, tajemniczy sens i możliwe w nich istnienie nadwiedzy. — Lecz i ten eksperyment był tylko błędnem kołem.

Zostawało mi tylko zwierciadło. Całe godziny spędzałam z oczyma na swem odbiciu fizycznem. Ale i tu niepodobna było ustalić ani jednego, ostatecznego wrażenia. — Niekiedy z lustra słaniała się ku mnie swawolna radość życia, — to znowu nędzarka wyciągała niemą twarz z błaganiem o śmierć. — Czasami oglądałam gorzko wykrzywione oblicze wykolejonej ambicyi, — to znów czystą, płomienną twarz niespożytego geniusza; chude, złośliwie błyszczące lica drapieżnej pokusy osiadały na niewinnych rysach bezcielesnego anioła; — martwota niedokończonej głowy marmurowej przekształcała się w mych oczach na larwę koboldową, — bolesność madonny ustępowała cynicznemu szyderstwu więdnących wszetecznic... Ale było jedno odbicie, które mnie przejmowało mistyczną trwogą, a zjawiało się, ilekroć spojrzałam w zwierciadło znienacka, lub gdy długo, nieruchomo trzymałam na niem wzrok: — było to zjawienie obłoku twarzy o niknących konturach, w którym z pożerającą uporczywością rozszerzały się do potwornych rozmiarów chłonne, długiemi błyskawicami rozświecające się otchłanie oczodołów. — Była w niej bezcielesność i groza demoniczna, — jakby mi się ukazywało, mrożąc w żyłach krew, — nieodgadnione i złowrogie oblicze mego Ducha. — Wzrok mój ziemski, mózg mój, nie znosiły ciemnej potęgi tych upiorowych otchłani. — — Z dreszczem zwierzęcego strachu uciekałam od nich, pewna, że jeszcze chwila patrzenia — a legnę trupem, lub oszaleję, lub... Jeszcze straszniejsze przeczucia niewypowiedzianej grozy, przeraźliwych objawień, bezpowrotnych zawrotów wstrząsały mą nędzną, ludzką miazgą na widok tej mary szatańskiej.

Zmordowana bezowocnem nurtowaniem siebie, zawiesiłam walkę o wiedzę bezinteresowną i ograniczyłam pragnienie do SAMOWIEDZY PRAKTYCZNEJ. — Wyrozumowałam, że od świata odcinają mnie jakieś nieznane mi błędy postępowania, wynikające z nieznajomości życia międzyludzkiego i że przez poznanie tego ostatniego osięgnę świadomość pierwszych, oraz możność ich prostowania. — Zaszyłam się więc w gromadę. — Wiedząc już z pierwotnych doświadczeń, że mnie z niej wyrzuca moja fatalna i nieodgadniona odrębność, wchodziłam w tłum z przebiegłą nieśmiałością, wysilając mózg na sposoby zewnętrznego i wewnętrznego utożsamienia, na coś w rodzaju zwierzęcej MIMICRY. — Starałam się nadać swej twarzy, plecom, głosowi, słowom, ruchom i szacie barwę i linię jeżeli niezupełnie jednakowe, to przynajmniej zupełnie zgaszone, nie zwracające uwagi. — Chciałam niedostrzeżenie wgryźć się w samo serce stada, by w niem podsłuchać rytm jego pulsu i porównać je z mojem. — Cały świat zamienił się dla mnie w szkołę praktycznej umiejętności. — Po ulicach chodziły moje żywe modele, za ladami sklepów uśmiechały się moje nauczycielki i kłaniali mistrzowie, — w salonach wykładały mi mądrość czcze gadaniny, — księgami Wedy była mi modne, „wzięte" romansidła. — Wkrótce jednak między mną a temi studyami stanęła fatalna, nieprzezwyciężona zapora: — NUDA bezbrzeżna, rozpaczliwa, której żaden wysiłek woli, żadne cucenie w imię ostatecznego tryumfu nie zdołały rozpędzić. — Nauka życia potocznego była mi na nic, dusza moja odrzucała jej przepisy z tym samym upartym wstrętem, z jakim zwierzę odtrąca pokarm nieodpowiedni. — Nie mogłam się zasymilować z gromadą; — każde usiłowanie kompromisu bodaj stawało się częściowem samobójstwem, każde prawidło obcowania z nią w równości godziło w któryś z zasadniczych korzeni mego bytu. — Tylko jako trup mo-

głam była dojść do jednodźwięku z niewspółmiernem otoczeniem. — Pragnąc nakłonić się do tych ludzi, sterczałam między nimi jak drzewo objedzone przez chrabąszcze, krążyłam jak zgasła planeta, w absolutnej próżni nerwowej. — Duch uciekał ze zdumionego ciała, w pustym mózgu rozlegały się idyotyczne echa okolicznego zgiełku, oczy stawały mi kołem, nieprzezwyciężone ziewanie darło się na usta, stygłam jak na mrozie, uczuwałam zmęczenie większe niż po najforsowniejszym marszu lub pracy, obumierałam, — a gdzieś w głębi mojej odbywał się jakiś nieustanny, kreci trud, dostępny mej świadomości na podobieństwo szmeru źródeł podziemnych. — — — — A ta martwota, niemożność przełamania swej natury, były jednym z nieprzeliczonych powodów mej rozpaczy, — tę nudę brałam za najpewniejszy dowód swej niemocy i staczałam z nią obezsilające boje, jak chory na tyfus z duszącą go zmorą.

Po długiej męce zrozumiałam nareszcie istotę tej martwości i jęłam wynajdować nowe sposoby zbratania się z gromadą. — Dostrajanie się do jednodźwięku było poniżające i płonne, lecz pozostawała możliwość SHARMONIZOWANIA swej jaźni z duszą zbiorową. — Wiedziałam już, że zgoda między tym tłumem a mną może być tylko pozorna, utrzymywana przez moją hypokryzyę; wiedziałam, że nas dzieli przepaść dwu ras zasadniczo sobie wrogich, — instynktowa nienawiść bawołu dla tygrysa. — A jednak ciągnął mnie do niego, jako do jedynej, przystępnej mi zbiorowości, instynkt gromadny, równie bezwzględny w szukaniu zaspokojenia jak głód i zmysły — i, jak głód i zmysły, umiejący maskować prosty popęd rajskiemi urokami. — Mówiłam sobie, że komunię duchową zastąpić może rozkosz władania motłochem; — że obcowanie intelektualne zresztą jest tylko cząstką życia międzyludzkiego, którą, ostatecznie, poświęcić warto dla całości; — głuszyłam szept in-

tuicyi, ostrzegający przed fałszywością tego rozdziału treści jednorodnej ducha, — i, odrzucając jako beztreściową wydzielinę ich świadomość ubogą, tępą i naiwną, — zamyślałam żyć z ich impulsami, jak w menażeryi, wśród odmiennych, lecz bogatych typów zwierzęcych. — Niektóre zwłaszcza okazy nęciły mnie nieprzepartym czarem jakichś pokus prawie przeciwnych naturze. — By się do nich zbliżyć, wpadałam na pomysły maskaradowe. — Jak Jowisz grecki zamieniałam się w byka i łabędzia, by posiąść te przepyszne twory ziemi; — odrzucałam precz skrzydła fregacie, by pójść w tan z bażantami i strusiami; — przyćmiewałam w sobie umyślnie blask bóstwa, by ich olśnieniem nie przerazić, nie odegnać od siebie; — ja, drapieżnik, brałam na się skóry owcze, tłumiłam swój ryk w łagodnym beku i naprężonym muskułom skradających się nóg dawałam pozór niedbalości i zmęczenia, by módz się zakraść w samo serce stad żyjących i uciec ztamtąd do lasu, trzymając w paszczy „najsmaczniejsze jagnię.“

To się nazywało we mnie miłością — i było nią w pewnym stopniu — do chwili, póki gąszcz matecznika nie zamknął się nade mną i moją zdobyczą. — Radosna piękność niektórych synów ziemi wyzwalała we mnie tęskne porywy zachwytu i szału, buchające hymnami wniebowzięcia i psalmami niedoli ku nocnym gwiazdom i wschodzącemu słońcu. — Umierałam z miłości, gdy byli ode mnie daleko, cała żądza życia skupiała się chwilowo w ich pożądaniu. — Lecz gdy wybijała godzina wcielania marzeń, — gdy, jak w potwornym śnie, z tych rajskich kwiatów ziemi wychylały się ku mnie zwierzęce ramiona zadowoleń, — wtedy nagle osłupiała, wystudzona, zbłąkana, — jak zbudzona ze snu księżycowego na skraju dachu, — padałam na płaski, grząski śmietnik rozczarowań, próżno szukając w niebie bram tęczowych, — próżno chcąc powiązać jawę ze snem i miłosne marzenie z rozkoszą. — Usta moje gasły

pod ich ustami, ciało odpychało ich uścisk, — dusza odchodziła beznadziejnie szydercza od przerwanej uczty, — i „najsmaczniejsze jagnię“ oddawała błędnym drogom puszczy... Umiałam tylko tworzyć i niszczyć. Kochać nie umiałam.

(Dokończenie.) Marya Komornicka.

W mroku gwiazd.



Stanąć tak nad morzem
z chmur kłębami na dnie
i w głąb niemą rzucać
jarzące klejnoty...

I pod jej pałacem
oprzeć skroń na murach
i wyrzec się — wyrzec
duszy swej na wieki...

I żagiel rozwinąć,
kiedy burza wyje,
i mknąć ponad góry,
i spadać — i płynąć...

KOLOSSEUM.

Ruinom podobne serce moje — ruinom ogromnym i bezkształtnym.
Mrok otulił rany moje, po lazurowych wschodach prowadzi mię zaduma w gwiazdy.
Oryonie — bracie mój — w purpurowem zarzewiu wulkanów czytający księgę przeznaczeń —
i Ty, siostro moja, Andromedo, przykuta do skał —
i Ty, łamiąca dłonie, Kassyopeo, której córę wzięło na pożarcie złe bóstwo — miłość —
i Ty, Perseuszu, coś ujarzmił obłąkane loty swojej wyobraźni —
i Ty, Liro — i Ty, Orle — i Ty najbliższa nam grzywo Centaura —
— — o gwiazdy magowie, składający hołd wiekuistnemu Sercu! wzmocnijcie chlebem aniołów mnie — najciemniejszego z tułaczów po otchłani.

Męczennicy, których krew użyźnia bryłę ziemi — dziewice, niewinniejsze od lilij — młodzieńcy, dzielniejsi od posągów — rozżarzcie serce moje w trybularz wonności.

I wy, Geniusze, tworzący wszechład — ogień — wodę — powietrze i ziemię — eter — gwiazdy i przeznaczenie gwiazd — świeczniki boże siedmioramienne — skrysztalcie mię w klejnot wiedzy, na czarny węgiel rzućcie iskrę objawień.

Aniołowie — otom dzwon zaryty w piasku, — na wysokich górach postawcie mię, braciszkowie moi, abym dolinom opętanym w mroku zwiastował Ducha Pocieszyciela.

O ruiny serca mego, ogromne i bezkształtne w mroku — poryte wąwozami cieniów, które nie wiem dokąd zawiodą — pełne więzień i klatek na potwory, łancuchów — pordzewiałych od krwi i od łez —
— — Czarodzieje filtrują jady w przysionkach mych —
handlarze bronzu rozkopują łone moje —
niewolnice kupczą wdziękiem Afrodyty —
dumna młodzież rozpędza rydwany dokoła cyprysowych alej —
lecz łasice gryzą się w ciemnościach, a świerszcze sykają nad upadkiem —
i tylko gwiazdy wświecają się w sznur obłąkanych nieskończonością okien —
a niebiosa rozwinęły się nade mną jako szafirowe żagle.

O przedwieczne rodzeństwo — aniołowie,
geniusze i święci — dźwignijcie księżyc z fali morza zamarzłego — niechaj cyprysy moje napełni szmerami proroctw.

W ciemności schodzi duch mój — w ciemności roztęczone od szronu gwiazd — łyskające kopułą czarodziejskiego zamku, gdzie białe rumaki strącane są w głuche jeziora — a w fosforycznych grotach ucztują widma potępionych.

Tysiącoletnie drzewa rozpaczy nurzają się w lodowych zatorach, płyną szeleszcząc ku bezdennym wirom — nad mglistym wyżłobionym lejem Anioł śmierci waży się w krwawym płomieniu, niby dogorywająca na wieży latarnia.
Stało się —
zapadły pode mną niebiosa — kępa kwiatów pod stopą kamiennego olbrzyma, i mrok zgęstniał dokoła.
A nad głębiami Duch — gasi gwiazdy — i rozżarza wizye, świetniejsze od gwiazd.

MELANCOLIA.

Żyje we mnie jakiś głuchy płacz — jakiś szloch i płacz żyją we mnie —
niby w grocie kropel wieczny szmer, monotonnych kropel tajny jęk.
Ach, to pewno przez zbójców zamknięta ze złotemi włosami królewna
(kasztelanka lub może pasterka), — z pól słonecznych, zielonych porwana,
zapomniana i w grocie zamknięta i na ostrych się głazach krwawiąca
złotowłosa mej duszy królewna.
Łzy jej płyną jak zimne opale — łzy jej płyną wśród nocy bez końca
i w kryształy się lodów zwieszają — w zamyślenia wiszące kryształy.
Raz przypełznął ze szmerem do groty — wąż kusiciel tych głuchych podziemi,
usta chciwie przyłożył do zdroju, lecz się wzdrygnął przed blaskiem nieznanym.

A wtem ujrzał w szafirach królewnę — i swe oczy głębokie, zielone,
swoje oczy widzące w ciemnościach utkwił w bladej płaczącej królewnie —
i mądremi oczyma pocieszał i prowadził ją w otchłań głęboką —
fosforycznie oczyma przyświecał — i prowadził ją w otchłań głęboko.
Aż pod ręką skrwawioną, co szuka w mroku oparcia,
grać poczęły jak dzwony bólów zamarzłych kryształy:
chór wyklętych pielgrzymów nuci pieśń grobu świętego,
tarcze błyskają, miecze — wśród kolumn czarnych bazaltu —
wstają z grobów olbrzymy — szał rozpędzonych rumaków
niesie ich w ogniach kłębiących przed gniewny w piorunach Majestat.
Nagle śpiewy zamilkły — głucha rozwarła się otchłań —
widać wśród ścian oślizłych mgłą wirujące jezioro.
I na zwilgłym grobowcu drżąca spoczęła Królewna, w otchłań patrzy bezgwiezdną — w świątyń zagasłych jezioro.
Wtem ją mocne ramiona objęły w krzyku bezdźwięcznym
i uniosły nad otchłań skrzydeł sześcioro,
i ujrzała cudowną w blasku miesięcznym —
twarz Lucifera.

Oto mej duszy świątynia — z czarnych, jak miłość, marmurów,
gdziem lud spiżowych posągów zaklął nad głębią rozpaczy.
Niech wicher morski gra, niech strąca lwów — Poskramiaczy
w płynny wulkanów żar — w ogniowy pałac Ahurów.
Tu napowietrzny most z bolesnych krwawych stygmatów
między górami na morzu, jakoby nici pajęcze —
i tu Cię będę niósł, jak chmura porwaną tęczę,
na ten najwyższy cypl — w zorzy polarnej dwóch światów.
I Tobie oddam regiony, co w skalnych zboczach mej duszy
jak ametysty lśnią: sny prerye; sny jako miesiąc w borze,
i tę ścieżynę modlitwy, którą szedł Chrystus raz w mroku.
A dla mnie to bezbrzeżne kraterów gasnących morze,
upiory świateł, wieczność, której już nic nie poruszy —
chyba ten Bóg — co przyszedł mię potępić — w Twoim wzroku.

Magia mej duszy niechaj Cię wywoła
z zarzewia komet czy z mroku przepaści —
przyjdź — ustroimy w lotus nasze czoła
i gibkie ciała nasze nard namaści.

Pachną mi dziwnie Twoje złote włosy,
jak prześwietlone senne kłosy.
Twych oczu lazur, jak górskie jeziora,
w których się pławi czarna sykomora.
A Twoje usta, pachnące jak róże —
chłodne — jak płomień zaklęty w marmurze.
W ogrodach piersi kwitnące jabłonie,
jakoby księżyc w mgieł srebrnych oponie.
Biodra toczone ze słoniowej kości,
jako indyjska świątynia miłości.

O przyjdź — na liściach zwiędłych piszę
ten sen mój obłąkany —
rzucam je w strumień łez moich wezbrany —
niechaj w anielskie odpłyną zacisze — —

Ale mi włócznią swą miedzianą
potrząsasz — i groźna jak mrok —
rozdzierasz serce moje —
czarną pianą
dyszy mi toń — ja pieczar tych smok —
weź moje skarby i Twe zimne serce
opasz — niech błyszczy!

Szmaragd Ci wspomni te zielone łąki,
po których szliśmy strojni w asfodele —
rubin — czyscowe jeziora rozłąki —
i miłość, którą oddałaś w kościele
innemu, — a dyament — moje serce dumne,
stopione w ogniach i rzucone w trumnę.
Na czole Twojem płomień chryzolitów,
abyś widziała gwiazdy konające —
ortoklast zimny, smutny jak miesiące,
zamrozi w oczach Twoich sen błękitów.

Ale ci jeszcze składam te szafiry
i perły jak chmury bezdomne,
i krwawej jaszmy obłąkane wiry —
na znak, że Ciebie nigdy nie zapomnę —
pierścień Ci włożę z mrocznych karbonatów,
bo się spotkamy — za progiem tych światów.

GŁĘBINY DUCH.

W żelaznych trumnach króle Tatry.
Noc — wicher i warczenie chmur.
Noc — głębia i błyskanie watry.
Z topieli pełznie okrwawiony Mór.
Na głębię! na głębię!
na serce morza pośród gór —
wśród skał lodowo-śnieżnych
wirują myśli jastrzębie —
duch rwie się do bezbrzeżnych
krain.
Odbijam tratwę w mrok i patrzę w śmierci jamę
i tworzę nową pieśń, jak Jubalkain —
olbrzymów pieśń — umarłych bogów dramę —
olbrzymów pieśń — Wöluspa i Szachname.

Wichry! śnieżyce! mych szałów tabuny!
przepaście! bory! słuchacze mych dum!
w zatorach zemsty ław kipiących szum —
serc potrzaskanych tajemnicze runy —
księżyce, gwiazdy — me bracia — me struny!

Azalim skald? posiadłem dar cierpienia.
Azalim król? któż większe ma przestworza?
tak Atlantyda rzucona w głąb' morza
tysiącem kolumn błyszczy się i spienia.

Znam bogów brzask: zielone oceany,
w płomieniach zorzy lodowe katedry,
ryk mastodontów, paroście i cedry,
harf złotośpiewnych mistyczne peany
i demiurgów orszak zadumany.

Ponad górami, niby księżyc w pełni,
snuje me serce czarodziejską przęśl —
fiołkowy obłok u stóp mych się wełni —
a jezior szkłanych zatopiona gęśl
gra wizye gwiazd —
— ja z uchylonej trumny
słucham — a wokół walą się kolumny —
i ziemia drży pode mną — i drży serce moje.
jak posąg, w miażdżonej świątyni —
a w chmurach pędzą skrwawieni heroje,
pytając mię o znak: śmierć na pustyni!
Nad górą świata, nad głębiami szczytów,
słyszę jęk matki, co mi serce rwie —
rzucam w jej łono pył aerolitów —
rzuciłbym słońce — lecz łzami się mglę.

Z czarnych kryształów mój pałac — w gryfy lemury rżnięty —
gwiazdy przez witraż świecą zamarznięty.
Perły posadzką, w koralach namioty —
huczą nade mną gdzieś przeznaczeń młoty.
Myśl moja rzeźbi posągowe mary
(na Jowiszowem czole stygmat kary).

Po salach błądzę jako lew skrzydlaty
(echem grobowem wtórzą kazamaty).
W melodyach ciszy nie zadrga zasłona
(w trumnie z ołowiu ktoś jęczy i kona).
Mrok zimny pluszcze w spiżowe podwoje
(gwiazdy migocą w zmarzłe serce moje).

Zgrzytnęły dźwierze — pleśń i katakumba —
pochodnia krwawi napis: in hac tumba.
Wyrazy milkną, lecz połysk przelśniewa —
w trumnie z ołowiu głos żałobny śpiewa.
Chyłkiem się wije cień zamaskowany —
idę rozpacznie do ostatniej ściany.
Dotknąłem gwoździa — nisze się ozwarły —
padłem na progu, jak człowiek umarły.
Nieznana ręka podjęła mię z prochu —
widzę grób — lampę konającą w lochu.
Na stopniach klękam sarkofagu —
od blasków się źrenica mruży —
jak dwa płomyki białej róży
świecą dwie ręce zapalone —
dwie żywe ręce — jak przy Magu —
me serce żywcem pogrzebione.
I zaszlochały łzy w głębinie,
zamigotały skrzydła zmięte —
aniołów grają chóry święte —
w różanych widzę mgłach świątynię —
ale me serce już pęknięte —
już go tym rajem nie upoję —
anioły lecą ze mną w boje.
Precz! — i wydarłem złote miecze —
od przepaści moich progu
wara wam — i wara Bogu!
oto me serce człowiecze —

rubinowa tajemnica —
oto je rzucam w odmęty!

— — — — — — — — —

Jak czarna lecę błyskawica,
nad przepaściami słychać me tętenty.
A za mną śpiewa borów chór
i łkają dzwony zatopionych miast —
krwawi się serce morza pośród gór —
konają tęcze zdruzgotanych gwiazd —
hurra — tytany! w ręku piorun siny —
ten świat roztrącić — w głębiny! w głębiny!

BIAŁE RÓŻE KRWI...

Białe róże krwi rosną przy mej celi —
a dokoła bór w swych upiornych snach.
Kiedy zimna noc — jako czarny ptak —
na wierzchołkach gór zostrzy krwawy dziób —
dwie siostrzyczki me — ach, dwie obłąkane
z lśniącemi oczyma, jak zaklęte skarby —
— — — — — — — — — — —
i słucham piosenek — i drżą srebrne rosy —
odmykam okno gotyckiej wieżycy.
I łkają słowiki i z szumem drżą fale —
do groty umarłych wszedł księżyc.
Węże z nad jezior prężą się uśpione,
a drzewa olbrzymy pośród chmur i nieba.
Gwiazdy jak róże kwitną wśród gałązek,
taniec szkieletów —
— — — — — — — — — — —
Na katafalku z czarnych kamieni
leży blady królewicz
i litośnie patrzy na swą zabójczynię.

Ona, jak posąg, bezmowna —
w ekstazie bólu uśmiecha się
przez zasłonkę grobu.
Patrzy litośnie królewicz —
dwa jeziora oczu ścinają mu się w lód.
— — — — — — — — — — —

Dwie siostrzyczki moje palą kwiat paproci.
Ziemia rozpęka w urwisko.
Nad jeziorem śmierci
siedzi nagi człowiek i w zielonkawą patrzy toń,
jako w źrenice święte Ureusa.
A strojne karły i wesołki,
tańcząc na nitkach pajęczyn,
zawodzą spiżowy choral o narodzinach gwiazd.
Mój brat: przed obliczem siedmiu posągów
skrzyżowaliśmy nasze miecze i czaszę krwi
piliśmy na braterstwo.
Całą wieczność szukałem —
odnalazłem weseląc się w płaczu moim.
Zaklinam go w dawne imiona anielskie —
przypomina — budzi się, jak ze snu —
uśmiecha się, jak Jehowa, z poza mgławicy,
a strumień piany toczy się po zoranych ustach.
Prosi, bym do uścisku podał dłoń —
chwycił mocno rękę moją —
zataczając się w okropnej radości,
wykręcił i z całej mocy
złamał na żelazach.
Zmiażdżoną ręką uderzył mię w twarz
i wyzwał na straszny — zagrobny bój —
w nurtach głębokiej wody.
Łzy płyną mu anielskie, rzewne
po obliczu zbrużdżonem piorunami,
jak ziemia —
— — — — — — — — — — —

Dwie siostrzyczki me rzucają do ognia
pszeniczną śnieć.
Siedzę na ganku wśród odwiecznych lip,
szafranowe krokusy pachną mi świętem Wielkiejnocy,
lilowe malwy i czarne bratki
szepcą opowiastki o tych, co minęli.
A słońce rozsypało krwawe róże
na obłokach — i gdy zagasły — stało się,
jakby ktoś ogród zamienił w żużle i popiół.
Pies wierny skomli przez sen
u moich nóg.
Prowadzi do mnie małe dziecię
żona — za rączkę.
I cisza taka święta
wśród omglonych łąk i lasów.
Świerszcze sykają pod progami,
żaby rechocą —
jakby szklane, grające wirowały sfery.
I poszedłem, ach — na drogę pod krzyż —
i nie wrócę już — nigdy nie wrócę.

— — — — — — — — — — —

O siostrzyczki moje, podłożcie smolny żar,
i niech rozszumi
oceanowym śpiewem ognia ta puszcza.
W płonących wirach dymu
zapadną się moje czarne księstwa —
w roztopach żywicy
skamienią się moje napowietrzne jeziora —
upiorne skrzydła moje
zanurzę w prastarych wulkanach —
i tylko serce me złóżcie z modlitwą do ziemi.
Nad popiołami
zaszumią zboża —
będą ludzie pożywać — i błogosławić.

ŚWIĘTY.

Tyś umarł? nie wiem, lecz się zbudziłem ze łzami,
i jeszcze grają chóry tych anielskich lutni,
i moje serce, jakby fala, łka mi,
i słyszę — cicho szepcą Twoi uczniowie smutni.

Czytałem księgę w prześwietlonych zbożach —
kronikę Twoich męczarń i Twych bolów świętych —
wtem, jakby świat mi roztęczył się w zorzach
i jakby kwiaty szumią w stepach wniebowziętych:
tak-żeś się cieszył, gasnąc — tak radował w Panu,
konając — i czułem ból Twojego ciała
i dusza moja — ach, gorzko płakała,
żeś jej tam nie wziął — jak kłos zżęty z łanu
i rzucony na drogę pod żelazne koła
w pył...

STYGMATY ŚW. FRANCISZKA.

O wzgardź mną, Panie, bom niegodny Ciebie — lecz w piersi mojej słyszę harfy granie i ręce moje wyciągam w zaranie — ku Tobie.
Uderza na mnie blask Mocy i Tronów — gwiazdy mi grają wśród wieczornych dzwonów — na niebie krwawe błyskają purpury — Twoich tajemnic otchłanie i góry.
A duchy z twarzą posępnie ukrytą — oczy im świecą przez wór San-Benito. I patrzę w zimne ich oczodoły — gdzie bezwstyd w dzikie zamarł szaleństwo — w krypcie kościoła tajne męczeństwo — za filarami błyszczą anioły.
I podszedł do mnie Upiór-strach nocny — ręce mi związał, bym legł bezmocny. A harfę podał w gasnące dłonie — serce, co wiecznym pożarem zionie.
I umęczyłem jeszcze raz drugi to smętne i krwi mej polały się strugi. Odejm mnie, Panie, moim szponom — odejm mnie, Panie, błotu mojemu — czemu nie przychodzicie mi łzy? i darmo trzymam twarz odwróconą — widzę Twe oczy zachodzące — widzę jak czarne zimne słońce zakrywa Ciebie mi.

Stoję na ostrym cyplu góry — pode mną w głębi czarnopiórej — nade mną — wkoło — Ty.
Idę ku Tobie, Tajemnico — wsłuchany w poszept kwiatów — otwarte szczęścia mego rany — oh, serc mam więcej niżli światów — niż gwiazd —
A płomień ku mnie z Twego słońca — a burze ciepłe przelatują jestestwo moje — zodyakalne światło nad horyzontem, jako lodowe framugi.
Niechcąc zakrwawiłem kwiatki i poruszyłem umarłego w trumnie — gałązki ciernia oplotły mi głowę — z rąk płyną świetlane smugi.
Ptaszki lecą pytać się, com widział w niebiosach: duszyczki wasze bardzo tęskniące. Umarli pytają mnie o swych losach — i tylko kwiatki cicho na skoszonej łące oddają aromat, jak siostra Łazarza, Panu.



Tadeusz Miciński.

Z utworów J. P. Jacobsena.

DOKTOR FAUST.

(KWIECIEŃ 1553.)

Leśnym głębokim wądołem posuwał się zwolna jeździec.

Na stokach jaru piętrzyły się wzwyż wielkie, łyse drzewa; górne ich wierzchołki kładły się lekko w blask słoneczny, dołem było szaro i mroczno.

Wiatr wiosenny przeciągał ciężkiem tchnieniem przez parów.

Ciężko wlókł się jeździec, ciągnąc za sobą wielką kosę, tak, że biało-skrzące ostrze zorywało czarną ziemię na przydrożu.

Bułany był stary koń; ciężko osadzał się na nim jeździec, starczo naprzód pogarbiony; twarz miał zrytą w szerokie zmarszczki i czarne bruzdy; biała, chuda dłoń dzierżyła uzdę, biała, chuda dłoń spoczywała na kosisku.

Zdał się większym, niźli ludzie bywają, w oczach jego nie było wcale białka, tylko ta czarność, co spoziera.

Gdziekolwiek koń jego stąpnął, tam wypełniało się powietrze ostrą, ziemistą, stęchłą wonią więdnących liści, co butwieją, mierzwy, co gnije, mchów, co murszeją, i karczy, co próchniejąc w żagwiowy zamieniają się czyr. Z wysokich drzew padały stare, suche gałęzie, odbijając się hałaśliwie o konary, lub też czyniąc to tak cicho, że plusk kopyt końskich o wilgotną ziemię wydawał się jedynym dźwiękiem na świecie.

I plusk kopyt drugiego jeszcze konia po za nim, hen w oddali, na drodze.

Jeździec zatrzymał się i jął nasłuchiwać; potem skinął głową, jak gdyby zrozumiawszy, i ruszył dalej.

Po chwili ukazał się w leśnym wądole drugi jeździec na rydzym koniu.

I ten wyższy był, niźli ludzie bywają, ale o wejrzeniu dwudziestoletniego wyrostka; czyniły go takim jasne kędziory i gładkie policzki wokół pełnych uśmiechniętych warg.

Częścią z samodziału chłopskiego, częścią z purpury królewskiej były jego szaty. Smukłe członki wszakże przeświecały w oślepiającej nagości poprzez samodział i purpurę, — w pogańskiej nagości! Gdyż Amorem było to chłopię w kędziorach, co jak złotych wiórów pęki wiły się wokół jego głowy. Z ramion zwisał mu kołczan ze strzałami; wielki łuk przysypłał niedbale do grzywy swego konia.

I gdziekolwiek koń jego stąpił, tam rozwijały paprocie swe kosmate pastorałki ponad czarną, wilgotną ziemią, poprzez zmurszałe liście przechodziło drgnienie życia, tryskały zewsząd żółte i białe pędy, tysiączne nasiona i zarodki budziły się ze snów, przedwczesne kwiaty poczynały wybłękitniać się pod ciemną osłoną zimowego listowia, nad głową jeźdźca nabrzmiewały i wyświetlały się pąki,

a górą, na powietrznej dali żeglowały ciągi przelotnego ptactwa, niby czarne znaki na szaroblękitnem niebie.

Amor zrównał się ze starcem z kosą, skinęli na powitanie głowami i jechali dalej poprzez wąwóz leśny, słowa nie mówiąc do siebie. Ale gdy droga wywiodła ich z boru skośnie poprzez pole na trakt królewski i gdy przed ich oczyma stanęło wielkie miasto: jego dachy brunatne, jego wyniosłe, szare blankowania, a ponad niemi strzeliste złotolśniące wieżyce, — wówczas obaj jeźdźcy skinęli sobie po raz wtóry głowami i uśmiechnęli się zlekka.

I jechali dalej drogą królewską, co rozkładała się przed nimi szerokim, szarym gościńcem, wijąc się w dali coraz to węższą i węższą wstęgą, by wreszcie jako wątła nić wpaść w czarne oko czerwonych wrót miejskich.

Oni wciąż jechali.

Tuż przed bramą rozciągał się wielki, nagi ogród warzywny pośród karłowatych jabłoni; w ogrodzie stał dom, na którym jeden dach piętrzył się nad drugim: dwie długie, strome płaszczyzny z omszałych dachówek. Gromadę czarnych kominów podpierały pręty żelazne i wiązały tęgie, żelazne łańcuchy.

Jeźdźcy zatrzymali się tutaj.

Po wschodniej stronie domu było okno, wielkie jak brama wjazdowa, a podobne olbrzymiej szachownicy z drobnych w ołów oprawnych szybek. Okno było w tej chwili otwarte i przymocowane do ściany, a w wielkim jak brama jego otworze stał doktór Faust, ze wzrokiem wlepionym w drogę, która, jak wiedział, prowadziła z leśnego wąwozu.

I Śmierć z Amorem, niewidoczni, jako zwykle bywają, cienia nawet nie rzucając za sobą, podjechali zwolna do tego okna.

I tu zatrzymały się ostatecznie ich wielkie nadludzkie postacie. Trzepotał się na wichrze czarny płaszcz Śmier-

ci, powiewała purpura Amora. Wielkie konie powsuwały szyje w otwór okna, zwieszały senne ociężałe łby nad księgami i pergaminami, żuły leniwie swe kiełzna, a sącząca się z pysków piana ociekała białemi płatami na czerń liter i na jaskrawe barwy inicyałów.

[Myśli za myślami oblegały natarczywie doktora Fausta, gdy stał tam w oknie, wsparłszy dłonie na szerokiej podokiennej desce, białe, w pierścienie zdobne dłonie tuż pod zwisłemi pyskami obu koni. Jaśniała w świetle biel jego czoła i bladość oblicza, wyświetlał się niemal każdy włos z osobna w ciemnej, kędzierzawej brodzie.

I każda myśl, jaką przemyślał o tych obu niewidzialnych tam za oknem, dosłyszalnym prawie padała dźwiękiem.

„Oto mam już lat czterdzieści," — myślał, — „mogę żyć jeszcze lat dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści. Potem skończy się wszystko.

Oto znowu wróciła wiosna, oto znowu mam o rok mniej do życia."]

Śmierć przyszła, aby porwać czterdziestoletniego doktora Fausta; ale Amor wstawia się za nim i Śmierć darowywa mu jeszcze dalsze czterdzieści lat życia. Po upływie tego czasu zjeżdżają się znowu oboje, aby go zabrać. Znajdują starca, któremu lata na nic się nie zdały: siły jego byłe już zużyte przed czterdziestu laty; druga połowa jego żywota martwem była życiem.

PRZEŁOŻYŁ Wacław Berent.

TU RÓŻOM BY KWITNĄĆ.

Tu różom by kwitnąć.

Takim dużym, bladawo żółtym różom.

W bujnych więziach musiałyby zwisać z poza muru ogrodowego, siejąc obojętnie wątły puch swego kwiecia w ślady kół na drodze, niby jasny odblask przepychu kwietnego, co świetnieje w głębi ogrodu.

I musiałyby tchnąć zwiewną, nikłą wonią różaną, nieujętą jak zapach nieznanych owoców, o których zmysły w snach swoich marzą.

A może winneby to być czerwone róże?

Może.

Byłyby to drobne, krągłe, jesienne róże o świecących liściach. Świeże i krasne, piełyby się w lekkich girlandach po murze i byłyby jako pozdrowienie lub ucałowanie ręki dla wędrowca, który znużony i okryty pyłem

idzie gościńcem i cieszy się, że go już zaledwie parę minut drogi dzieli od Rzymu.

O czem też on myśli? Jakie jest jego życie?

Oto — już zniknął za domami, które z tej strony zakrywają wszystko: i drogę i miasto. Ale po drugiej stronie widać daleko; hen aż do rzeki, aż do zrujnowanego mostu snuje się leniwo gościniec w powolnie wijących się zakrętach. A dalej legła niezmierzona Kampania.

Szarość i zieleń takich wielkich równin! tchnie z nich coś jakby omdlałość dalekiej mozolnej podróży, omdlałość kładnąca się ciężko na duszę ludzką, pogrążająca ją w samotności i opuszczeniu, niecąca w niej tęskność i oczekiwanie.

Więc już lepiej wyszukać sobie taki jak ten kąt między wysokiemi murami ogrodowemi, gdzie powietrze wionie ciepłem, miękkością i ciszą; usiąść w słońcu na ławie, zagłębiającej się w niszę, — siedzieć tam i patrzeć na połyskliwe zielone akanty w przydrożnym rowie, na srebrem centkowane osty i złotawe kwiaty jesienne.

Naprzeciwko wznosi się długi, szary mur, okryty zeschłą trawą. Pełno w nim szczelin i kryjówek jaszczurczych. Tam winneby kwitnąć róże, w tem właśnie miejscu wychylać się z za muru, gdzie z jego długiej, jednostajnej płaszczyzny wystercza wielki, misternie z krat żelaznych dzierzgany kosz, dzieło starej, ślusarskiej roboty. Tworzy on obszerny, powyżej piersi sięgający balkon, na który miło snadź wejść, gdy zamknięty ogród nic już dać nie może prócz znużenia

A zdarzało im się to często.

Nienawidzili swą starą, wspaniałą willę, kryjącą się pono tam w głębi. Nienawidzili ją wraz z jej marmurowymi schodami i grubo tkanemi tapetami; nienawidzili te odwieczne drzewa o czarnych, dumnych koronach, te pinie i laury, te szlachetne jesiony, cyprysy i dęby, przez

cały czas ich wzrastania, tą nienawiścią, jaką dyszą niespokojne serca do codzienności bez wrażeń, do wszystkiego, co wraz z niemi nie pała pożądaniem i przeto sprzeciwiać się im zdaje.

Ale z balkonu można było wybiedz poza obręb przynajmniej spojrzeniem. Więc pokolenia za pokoleniami wystawały na nim, topiąc wzrok w oddali; a każde ze swem *za* i ze swem *przeciw*. Niejedno ramię zdobne złotemi manelami wspierało się na poręczy balkonu, niejedno kolano, osłonięte jedwabną suknią, wciskało się w jego czarne arabeski, nieraz z krat jego wiały barwne wstęgi, na znak pozdrowienia lub przyrzeczenia miłosnej schadzki. Nawet ociężałe, brzemienne matrony stawały niegdyś tutaj, szląc w dal niemożliwe do spełnienia tęsknoty. I rosłe, bujne, opuszczone kobiety, blade jak nienawiść... ach, gdybyż można zabić myślą, gdybyż można zaklęciem rozewrzeć otchłanie piekieł!.. Kobiety i mężczyźni! wciąż kobiety i mężczyźni, a nawet te wątłe, białe duszyczki dziewczęce, co jak zbłąkane w locie gołębie tulą się do czarnych krat i wołają: Hej, chwytajcie nas, szlachetni drapieżnicy!

Tu możnaby sobie rozegrać w wyobraźni całe jakieś przysłowie dramatyczne.

Widownia doskonale nadawałaby się do niego.

Mur z balkonem pozostałby, jak jest; tylko droga musiałaby być szersza i zataczać krąg dokoła starej, niepozornej fontanny. Fontanna musiałaby być koniecznie z żółtawego piaskowca i mieć basen z popękanego porfiru. Mógłby ją zdobić delfin z odłamanym ogonem i z jednem nozdrzem zatkanem. Z drugiego wystrzelałby cienki promyk wody. — Obok fontanny ławka w półkole z piaskowca i palonej cegły.

Lotny, szarawy pył, czerwonawa, polewana cegła, żółtawy, gąbczasty, ciosany piaskowiec, ciemny, wygładzo-

ny, od wilgoci połyskujący porfir, i wreszcie żywy, drobny, srebrzyście drgający promień wodny: materyał i barwy zestrajają się nieporównanie.

Osoby: dwaj pazie.

Ale nie wzięci z jakiejś historycznej, ściśle określonej epoki, bo pazie rzeczywiści zgoła nie odpowiadali swemu ideałowi. To pazie, którzy na obrazach lub w książkach kochają i marzą.

Tylko w strojach to i owo przypomina historyę.

Artystka, która gra młodszego pazia, ma na sobie obcisłe ubranie z lekkiego, jasnobłękitnego jedwabiu, przetykanego heraldycznemi liliami z najświatlejszego złota. Kostyum, przybrany możliwie suto koronkami, zmierza nietyle do zachowania charakteru jakiejś określonej epoki, ile do uwydatnienia bujnych, młodzieńczych kształtów, wspaniałych płowych włosów i jasnej cery.

Jest mężatką, ale jej małżeństwo trwało zaledwie półtora roku, potem się rozwiodła, a podobno była wogóle niezbyt przykładną żoną. Może tak było, ale trudno sobie wymarzyć skończeńsze niewiniątko. Naturalnie, nie chodzi tu o jakąś milutką niewinność z pierwszej ręki, która niewątpliwie ma swój urok, ale o ową wybornie utrzymaną, prawidłowo rozwiniętą niewinnność, która nikogo nie omami, która wprost chwyta za serce i czaruje pełnią potęgi, stanowiącej nieodłączny atrybut wszelkiej doskonałości.

Drugą rolę w przysłowiu gra wiotka melancholiczka. Jest niezamężna i niema żadnej przeszłości, absolutnie żadnej. Niema człowieka, którvby znał choćby najdrobniejszy epizod z jej życia. A jednak jakże wymowne są te delikatnie zarysowane, prawie chude kształty, ta regularna twarzyczka o bladości bursztynu, okolona kruczemi włosami, i silna, prawie męzka szyja! Nęci uśmiechem, szyderczym, a zarazem pełnym chorobliwej tęsknoty, i niezgłębionemi

oczyma, których czerń jest miękka i świetlista jak ciemne płatki w kwieciu bratków.

Odziana w strój bladawo żółty, skrojony nakształt kirysu, o szerokich zakładkach, sztywnym, stojącym kołnierzu i topazowych guzikach. Z za kołnierza i z obcisłych rękawów wyziera wązka taśma sfałdowanej krezy. Pluderki ma krótkie, szerokie, koloru martwej zieleni, z matowo purpurowemi potrzebami. Do tego szare trykoty. — Paź błękitny ma naturalnie lśniąco białe.

Obaj w beretach.

Tak wyglądają.

I oto paź żółty stoi na balkonie, przechylony przez poręcz, a błękitny siedzi wygodnie rozparty na ławie pod wodotryskiem. Rękoma, na których połyskują pierścienie, oplata kolano, a marzące jego oczy błądzą po Kampanii.

Wreszcie odzywa się:

— Nie, niema nic w świecie nad kobiety! — Nie pojmuję tego... snadź czar jakiś jest uwięziony w liniach ich kształtów. Gdy patrzę, jak obok mnie przechodzi Izaura, Rozamunda, Donna Liza, lub która inna, gdy widzę, jak suknie tulą się do ich kształtów, jak układają się w fałdy przy każdem ich stąpnięciu, zdaje mi się, że serce wypija wszystką krew mych tętnic, pozostawiając czaszkę pustą i bez myśli, a członki drżące i z sił wyzute. I cała moja jaźń skupia się w jedno jedyne, długie, trwożne tchnienie tęsknoty. Co to jest? Zkąd to pochodzi? To takie dziwne! Jakby niewidzialne szczęście mijało moje drzwi, a ja powinienbym je schwytać, pojmać i mieć jak swoją własność — i nie mogę go ująć, bo go nie widzę.

Na to odpowiada drugi paź z balkonu:

— A czyś ty kiedy siedział u jej stóp, Lorenzo, gdy zatopiona w myślach zapomni, poco cię wezwała? Siedzisz w milczeniu i czekasz, a nad tobą chyli się cudne jej oblicze, dalsze od ciebie w mgławicach swych snów,

niż gwiazda tlejąca na jego niebie, a jednak tak bliskie twemu spojrzeniu, tak bliskie! Przed twym podziwem nie tai się ani jeden rys, ani jedna linia z piękności poczęta, ani jeden promień, co prześwietla spokojną białość jej lic i płonie w miękkiej różowości jej rumieńca. Czy ci się wtedy nie marzyło, że może ona nie jest z tego świata, w którym ty przed nią klękasz w podziwie, że może należy do niej inny świat, że może inny świat ją otacza, w którym jej świątecznie przyobleczone myśli zdążają ku jakiemuś celowi, tobie nieznanemu? w którym ona kocha zdala od świata twego i innych ludzi, zdala od tego, co twoje? kędy w oddal snują się jej marzenia i pożądania? I czyś wtedy nie czuł, że w najprzelotniejszem mgnieniu jej myśli niema miejsca dla ciebie, aczkolwiek twoją najżywszą tęsknotą jest poświęcić się dla niej, oddać za nią życie i wszystko, co masz, byleby między nią a tobą istniało coś, co nawet nie jest promykiem wspólności, a cóż dopiero ściślejszym węzłem?

— Ach, ty wiesz, że tak jest. Lecz...

A teraz na poręczy balkonu pojawia się zielona jaszczurka. Zatrzymuje się w biegu i rozgląda dookoła. Ogonek się porusza...

Gdybyż był kamień pod ręką...

Baczność, moja czworonożna przyjaciółko!

Nie, tej chyba nikt nie trafi, ona słyszy kamienie w locie. Ale się przynajmniej zlękła.

Tejże chwili nikną obaj pazie.

A tak ładnie było tej błękitnej z ogniem nieświadomej tęsknoty w spojrzeniu i przeczuciowym niepokojem w ruchach. Dokoła jej ust słaniał się nikły cień bólu, kiedy mówiła, a zwłaszcza kiedy się zasłuchała w nieco przytłumiony głos żółtego pazia, w którego słowach, drażniących a jednak pieszczotliwych, drgał ton szyderstwa i razem sympatyi.

A czyliż teraz nie wydaje się, że obaj znowu są tutaj?

Są tutaj. Odszedłszy, grali dalej i mówili o owej nieokreślonej miłości młodzieńczej, która nie zna spokoju, która tuła się po wszystkich krajach przeczuć i wszystkich niebiosach nadziei i chorzeje z tęsknoty, że nie dano jej rozgorzeć w potężnym, namiętnym żarze jedynego wielkiego uczucia. Młodszy mówił o tem z goryczą, starszy z tęsknotą. A teraz żółty przekonywa błękitnego, że nie powinien tak niecierpliwie pragnąć odwzajemnionej miłości, która porywa i przykuwa do siebie.

— Wierzaj mi — powiada — miłość, którą znajdziesz w uścisku dwojga białych ramion, w której dwoje oczu zwiastuje ci bliskość nieba, a dwoje warg da napewno błogość, taka miłość zbyt blizka jest ziemi i ziemskiego prochu. Ona wymienia wolną wieczność marzeń za szczęście, co na godziny się mierzy i z godzinami starzeje, a chociaż wciąż się odmładza, to jednak za każdym razem traci jeden promień z owej niewiędnącej gloryi, która wieńczy wiekuistą młodość snów. Nie, to ty jesteś szczęśliwy!

— Nie, to-ś ty szczęśliwy! — odpowiada błękitny. — Dałbym świat za to, aby być takim, jak ty.

I błękitny powstaje i idzie drogą, wiodącą w dal Kampanii, a żółty patrzy za nim z tęsknym uśmiechem i mówi do siebie: nie, to on jest szczęśliwy.

Wtem z daleka, z drogi odwraca się błękitny jeszcze raz w stronę balkonu i z beretem w ręku woła: Nie, to ty jesteś szczęśliwy!

Tu różom by kwitnąć.

A teraz niech powionie wietrzyk, niechaj otrząśnie deszcz kwiecia z rozkwitłego różokrzewia i pożenie je śladem odchodzącego pazia.

ARABESKA.

Czyś błądził kiedy w mrocznych lasach?
Znasz ty Pana?
Ja go przeczułem,
Ale nie w mrocznych lasach,
Gdy mówi wszelkie milczenie.
Nie! TEGO Pana nie znałem ja nigdy.
Ale przeczułem miłości Pana —
I wtedy milkło, co zazwyczaj mówi.

Na słonecznych łęgach
Rośnie dziwne ziele.
Tylko w najgłębszej ciszy,
Gdy słońce żarów tysiącami sieje,
Rozchyla swe kwiecie.
Jak obłąkane majaczy się oko
I jak ceglaste lico trupa:
Widziałem je
W miłości mojej.

Wonną mi była jak jaśminu biel,
Makowe soki krążyły w jej krwi,
Jej ręce chłodne i jak marmur białe
Śniły na jej łonie,
Jak wodne lilie na jeziornej głębi.
Miękko padały jej słowa,
Jak jabłoni kwiecie
Na rośne pada trawy.
Ale bywały chwile,
Kiedy wzwyż biły, jasne i zimne,
Jak tryskające w górę wody.
Westchnienie drgało w jej śmiechu,
A radość w jej łkaniu;
Korzyć się przed nią musiało wszystko —
Tylko ócz dwoje śmiało się sprzeciwiać,
Jej własnych oczu dwoje.

Z trującej lilii
Lśniącego kielicha
Piła do mnie,
Do tego, co już nie żyje,
I tego, który teraz przed nią klęczy.
Piła do nas wszystkich
— A wtedy oczy korzyły się przed nią —
Czarę ślubowań niezmiennej stałości
Z trującej lilii
Lśniącego kielicha.

Wszystko minęło!
Na śnieżnej równinie
W ciemnym lesie
Samotnie rośnie ciernowy kierz,
Wśród jego liści targają się wichry.
Grono po gronie,

Grono po gronie
Strząsa jagody czerwone jak krew,
W biały je sieje śnieg, —
Płonące jagody
W zimny śnieg. —

Znasz ty Pana?

ARABESKA DO RYSUNKU MICHAŁA ANIOŁA.

(Profil kobiety ze spuszczonemi oczyma w Uffiziach).

Wbiegłaż fala na ląd?
Wbiegłaż na ląd i spłynęła znów
Powoli po perłach żwiru
Z powrotem w odmętów świat?
Nie, wspięła się jak bojowy koń,
Wznosząc wysoko swą wilgotną pierś!
Jej grzywa lśniła od pian,
Śnieżysto białych jak łabędzi grzbiet.
Świetliste pyły i drżące tumany
Tęczowo wionęły w błękit:
Zmieniała ciągle
Ruchliwy kształt
I na szerokich, na łabędzich skrzydłach
Przez białą światłość leciała słoneczną.

Znam loty twoje, ty, lecąca falo;
A przecież złoty dzień zagaśnie
I w płaszczu tkanym z mroków nocnych

Znużony legnie na spoczynek,
A w jego tchnieniu rozbłysną wkrąg rosy,
Kwiaty się zamkną wokół jego łoża,
Zanim dobieżysz celu.

— A gdy dosięgniesz złotej kraty,
Gdy bujasz cicho na rozwitych skrzydłach
Nad szerokiemi alejami parku,
Ponad gąszczami wawrzynów i mirtów,
Nad koronami ciemnych magnolij,
Co ciebie gonią jasnem, cicho się jarzącem,
Co cię ścigają drętwem swych kwietnych ócz spojrzeniem;
Gdy ci zaszemrzą tajemnie irysy;
Kiedy cię w miękkie, rzewne sny kołyszą
Wonie geranij,
Jaśminów i tuberoz duszące wonie;
Kiedy się niesiesz, hen, ku białej willi,
Na której szybach drżą miesięczne blaski,
A straż jej dzierżą wyniosłe, czarne,
Wyniosłe, wierne cyprysy —
Wtedy zamierasz w pełnym przeczuć lęku,
W drżeniu trawiącej tęsknoty.
Jak wiew się ślizgasz, idący od morza,
I wpośród liści konasz winogradu,
W pośród szumiących winogradu liści,
Na marmurowym progu balkonu;
A na balkonie jedwab portyery
Powoli w ciężkich kołysze się fałdach,
A złote grona winne
Z powyginanych trwożnie wici
Sypią się na murawę. —
Płomienna nocy!
Wolno wypalasz się nad ziemią!
Snów tajemniczo snujący się tuman,

Wichrząc się, pełza twemi ślady,
Płomienna nocy!
— Wola jest woskiem w twojej miękkiej dłoni,
A wierność przed twem tchnieniem chwiejną jeno trzciną!
Czemże rozsądek, czy on twem dziecięciem?
I czem niewinność, gdy ją wzrok opęta,
Twój ślepy wzrok, co swoją dziką mocą
Zdoła rozkiełznać w orkan fale krwi,
Tak, jako księżyc zimne wzburza morze?
— Płomienna nocy!
Potężna, ślepa Menado!
Zkądś przez ciemności błyskają i szumią
Tajemne fale tajemnego dźwięku:
Brzęk puharów,
I stali krótki, śpiewający świst,
I krwi szemranie, i rzężenie rannych,
I bełkocący ryk obłędu, społem
Z ochrypłym krzykiem purpurowych żądz...
— Lecz to westchnienie, płomienna nocy?
Westchnienie, co, hen, zrywa się i mrze,
Mrze i znów potem wszczyna się na nowo,
To westchnienie, płomienna nocy!

Patrz, portyery fala się rozchyla;
Postać kobiety pięknej i wyniosłej
Kreśli się ciemno na tle ciemnych niebios.
— Święty smutek w twem spojrzeniu,
Nieznający ukojenia smutek,
Beznadziejny smutek,
Palący, zwątpień pełny smutek.
— Noce i dnie mkną ponad ziemią,
Pory roku zmieniają się jak barwa ludzkich lic,
Długie, ciemne fale pokoleń bez końca
Toczą się przez glob,

Toczą się i przemijają,
A wraz z niemi umiera czas.
Poco życie?
Poco śmierć?
Poco żyć, skoro nie minie nas śmierć?
I poco walczyć, wiedząc, że nastanie
Chwila, gdy z ręki wytrącą nam miecz?
A te ogniste stosy cierpień, poco?
Godzin tysiące, pełne gnuśnych mąk
W gnuśnym pochodzie ku męce śmiertelnej?

Czy to myśl twoja, ty, dostojna pani?

Lecz ust jej skarga, ni jęk nie rozchyla;
Stoi milcząca, nieruchoma, cicha,
Kreśląc się ciemno na tle ciemnych niebios,
Jak w serce nocy wbity miecz.

PRZEŁOŻYŁ Stanisław Wyrzykowski.



W głębi.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Oto skarżę się boleśnie,
że nie mogę być pod słońcem,
że nie mogę być.

. . . .

Na widnokręgu szeroka fala, szeroki fali wał.

. . . .

Jakże smutno iść do głębi,
na dno mętnych, ciemnych wód, —
O! jak smutno iść!

. . . .

Na widnokręgu przepaść wilgotna, nic... okrom skargi fal!

. . . .

Wypłynąłem raz pod słońce,
wypłynąłem tylko raz.

. . . .

Na topieli głowę widać, głowę ludzką pośród pian.

. . . .

Raz najpierwszy i ostatni,
raz jedyny oczy moje
oglądały słońca chwałę,
oglądały słońca moc.

. . . .

Na topieli głowa ludzka jeszcze wznieść się usiłuje.
Gdzieście dotąd były oczy?
Kędy na świat się otwarły?

. . . .

Wał się wzdyma, grozi, pieni; z nurtu wstaje wodny grom.

. . . .

W zielonkawej głębi były,
w smutnej głębi oczy moje;
tam się na świat otworzyły,
gdzie są mętnej wody zdroje,
gdzie jest ciemny świat...

. . . .

Topielcowa głowa biedna wnet pogrąży się w odmęty.

. . . .

Nie wiedziałem, że wzrok mają
zdolny ciebie, słońce, witać,
godny ciebie znać.
Bom w topieli się narodził,
jak w ojczyźnie byłem w toni,
bom w ciemności żył!

Moj ty domu — smętny jesteś!

Któż wyniańczył mię od dziecka?
Kto wyniańczył, wypiastował?
Kto mi — w tobie był kołyską?
w tobie, domu mój!

Przychodziła woda cicho,
kołysała mię. —
Całowała dziecka czoło,
zaglądała dziecku w oczy,
usypiała duch!

Przez twe ściany, domu, domu,
płynął cichej wody szept. —
Zielonkaważ była woda,
dziwna woda, gęsta woda,
jak nieczysty zdrój!

Przychodziła dziecko niańczyć!..
Zamuliła dziecka myśli,
rozmiękczyła dziecku serce
i uśpiła duch!

. . . .

Z fal się jeszcze raz wynurza topielcowa biedna twarz.

. . . .

Nie chcę ciebie, o piastunko!
wodo-matko, daruj mi!
wypuść z objęć niekochanych:
twe objęcia mękę czynią,
w szepcie łkanie brzmi!

Duszno! gnębi twa pieszczota...
Duszno! wypuść, błagam cię!
Pocałunek twój okropny...
Do ust sięga pocałunek,

dusi, w gardle dech zapiera,
w piersiach braknie tchu. —

. . . .

Zamykają się nad głową wielkie, zwarte kręgi fal. —

. . . .

Nie chcą oczy me powracać
w ten podwodny, ciemny świat!
Ukochały-ż oczy moje
słońce w chwale na niebiosach,
ukochały jego światło,
ukochały blask.

Nie chcę! nie chcę! odpłyń, wodo,
nie zaglądaj mi w powieki,
nie napełniaj powiek moich,
i nie wdzieraj się do źrenic,
i nie wdzieraj, bo tam w głębi
stoi tęskny bólu protest,
stoją bólu łzy. —

Nie chcę! odpłyń! Szumi wciąż...
Nie chcę! odpuść! Wzbiera głos...
Rozkrzyczanej wody zgiełkiem
otuliła czoło, skroń...
Szlochającem całowaniem
obezwładnia usta me. —

Chciałbym wołać; protest cichy
zmienić w straszny bólu jęk...
Walczyć! Boże!.. resztą sił...
I szamocę się rozpacznie,
i rozpieram fali głąb',
i tak cierpię mękę wielką,
i tak cierpię, Boże mój!

. . . .

Chwilę jeszcze widna głowa, co niebawem pójdzie w toń.

. . . .

Dusi! cierpię! w ustach woda...
w gardle pełno wody mętnej,
w sercu lęk. —

Och! powietrza! Chcę odetchnąć...
Całym bólem pragnień wielkich
raz zaczerpnąć... i odetchnąć —
Niema tchu!

Już nie mogą usta wołać; —
niechże skarga w oczy idzie,
niech przez oczy w niebo bije,
w ból, — a w głos.

Jam do oczu krzyk swój włożył:
niechże świadczą one... głośno,
niech protestem będzie wzrok.

Zawołajcie, oczy moje,
zapytajcie o bezprawie...
Krzyczcie tęskno, kędy słońce —
krzyczcie — strasznie... kędy Bóg!..

. . . .

Ponad głową się zawarły wielkie, smutne kręgi fal. —

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Podwodny świat.

Wielka przestrzeń zalana przez jakąś toń zielonawą, a mętną. Dno błotniste i grząskie. Gdzieniegdzie majaczeją zarysy dziwacznych roślin podwodnych. Wszystko się dzieje na tle ruchomem, i ciemnawem, i smutnem.

Mąż wodnik i wodnica żona, oboje młodzi i całkiem do ludzkich postaci podobni, nadpływają po cichu z owego tła ciemnych wód.

MĄŻ.

Moja kochanko. włosy rozplataj;
niechaj się kładą na łonie fal. —

ŻONA.

Już płyną za mną jak fale jasne.

MĄŻ, patrzy na nią.

Jak złote mgły —

. . . .

Piękną mi jesteś w światłości onej,
co się u czoła poczyna tobie,
a sięga stóp!
Stań, stań na chwilkę, a głową strząśnij:
obaczę iskry w potopie wód,
obaczę włosy twe spadające...
promiennym płaszczem gdy cię ogarną
do — białych stop!

ŻONA.

Ach! ty się bawisz!

MĄŻ.

O!.. ja się pieszczę!
A tę pieszczotę dla oczu biorę
od twego wdzięku, od twoich lic!

ŻONA.

Wciąż mi układać potrzeba włosy,
to znów rozplatać, byś czar ich miał...

MĄŻ.

O! ja się pieszczę...

ŻONA.

Ach, wciąż! ach, wciąż!

MĄŻ.

Żeś piękna, mówię —

ŻONA.

Ach, wciąż! ach, wciąż!

MĄŻ.

Ty mi królujesz w tym hymnie słów —

ŻONA.

Króluję... Tak!

MĄŻ.

Promienna jesteś w miłości mej. —
Ku tobie idą kochania słowa,
ku tobie lecą jak ciche skry. —
Uwiły wieniec, wokoło... wkoło...
W tym wieńcu... jakże? czy słodko ci?

ŻONA.

A — tak jest! — słodko...

Po chwili.

Słodko i smutno. —

MĄŻ.

Dlaczego... piękna?

ŻONA.

Ja nie wiem... Tak. —

MĄŻ.

Odganiaj smutki, wesele miej!

ŻONA.

Odgonić — chcę.

MĄŻ.

Pamiętaj, luba, że uśmiech twój
to życia mego i moc i treść. —

ŻONA.

Ty żyjesz w moim uśmiechu... Wiem.

MĄŻ.

Powtarzasz, niby tęskliwe echo. —

ŻONA.

Bo... czegoś brak! —

MĄŻ.

Kwilisz jak dziecko! Dosyć, bo wreszcie
wywołasz we mnie i żal i gniew!

Chwila milczenia. W onem milczeniu słychać wyraźniej cichy a szemrający głos wody.

Wiesz co? do pracy pójdziemy chyżo,
bo na mnie czas!

ŻONA.

Do pracy?.. Ha!..

MĄŻ.

Dlaczego szydzisz tym głosu dźwiękiem?

ŻONA.

Czy szydzę?.. Nie!

Po chwili:

Tak... jeno smutek za serce wziął!

MĄŻ.

W gąszczu podwodnym, gdzie domek nasz,
w tych krzach wilgotnych, gdzie gniazdo mam,
pójdę gałązek nałamać cienkich,
muszę ostrożnie gałązki brać! —
Aby się szczęście w mieszkaniu śmiało!
Uplotę wieńce zielonych traw,
uczynię lubej przybytek luby
jak sen i czar!

Odpływają nieco opodal, kędy przez wodę widać istotnie zarysy krzów fantastycznych.
Milczenie. Oboje przez chwilę obrywaniem gałązek zajęci.

MĄŻ.

A to jest praca! Gałązki kruche
łamią sie w palcach, by ścisnąć raz...
Trza cierpliwości do tego wielkiej;
ja, Bogu dzięki, wytrwanie mam!

ŻONA.

Spojrz, jakie twoje ramiona silne...

MĄŻ.

Ha! tak, niezgorsze! Cóż? miło ci?

ŻONA.

Patrzę i patrzę...

MĄŻ.

Duma w serduszku urasta!.. co?

ŻONA.

Och!.. taki wstyd mię żałosny bierze..

MĄŻ.

Co mówisz, luba?

ŻONA.

Za twe ramiona, iż — silne są!

MĄŻ.

Krzyknęłaś dziwnie, kochanko moja!
żono-kochanko, czy-ć się co śni?

ŻONA.

Ja nie śpię! Patrzę, wytężam wzrok!
. . . .

MĄŻ.

Wstyd za mą siłę? O! rozważ tylko,
co mówić chcesz!..

ŻONA.

Mierzę oczyma twych ramion tęgość:
zdawałoby się, o Boże mój!
sięgną po jakieś ogromne dzieło,
olbrzymów trud!

MĄŻ.

Nie mogę pojąć —

ŻONA.

A one... drobne gałązki biorą!

MĄŻ.

Zasępiasz myśli...

ŻONA.

Z drobnych gałązek wianuszki wić...

MĄŻ.

Daj... myślom pokój!

ŻONA.

Widzę, jak splatasz... z baczeniem wielkiem,
widzę, jak trudzisz się niesłychanie,
mówiąc, iż takie zajęcie — czyn!

MĄŻ.

Zasępiasz serce —

ŻONA.

Tak mocne ramię... O! ha! ha! ha!

MĄŻ.

Zasępiasz serce! —

ŻONA.

Buchnął śmiech ze mnie!.. Patrzę i patrzę:
pragnę podziwiać twych rąk obrotność,
twą pracowitość ocenić chcę...
Lecz coś mię zdjęło, hen!.. w duszy!.. bólem,
zalewa jakiś gryzący żal...
goryczy jad...
I śmiech wybuchnął... O! ha! ha! ha!

II.

Ciż i stary Wodnik zgrzybiały, który po dnie błotnistem z trudnością powoli idzie.

STARY.

Słyszę po wodzie coś się rozbiegło...
jako do śmiechu podobny ton...

ŻONA.

Tom ja się śmiała z kalectwa, ojcze!

STARY.

Hę! co powiadasz!

ŻONA.

Kalekę widzieć — ucieszna rzecz!
Serce się wtedy ze śmiechu... drze!

. . . .

Ty nie wiesz?.. U nas w tej mgle i głębi
rodzą się jakieś potworki dziwne,
pająki wód. —

STARY.

Ja po dnie dawno, o! dawno chodzę,
ja, moja młoda, już wszystko wiem...

ŻONA.

Pełzają!.. Prawda? ucieszny widok!
Silą się, wzdęte, aż płynie pot...
biedne i śmieszne... O! ha! ha! ha!

STARY.

Twój śmiech jest przykry...

ŻONA.

Serdeczny — z serca! z goryczy — gorzki!

Po chwili:

Oto patrzę, jak się czołga,
niedołężny stawia krok,
sunie nędzny i pogięty,
żałośliwy, a bez sił,
ten potworek dziwny wielce,
ten kaleka — czyn!

MĄŻ, wybucha.

A więc wskaż inny! Daj inny, daj!

ŻONA.

Jakoż ja tobie oczyma wskażę?

. . . .

Oczy moje są świecące,
by umiały kochać błyskiem.

by kochały moc!

. . . .

Jakoż ci dłonią wskazywać będę?

. . . .

Moje dłonie są pieszczone,
aby wsparły się na sile,
łagodziły gniew!

. . . .

Czyż ja ci sercem przed tobą pójdę
na strach i cień?

. . . .

Serce moje jest niewieście,
uczynione do miłości,
kochające jest!

. . . .

Miękkie serce, rzewne serce:
w miłowaniu jego świat,
w uległości jego szczęście,
a w słodyczy kres. —

. . . .

Tęsknoty pełne są piersi moje:
niewiasty żądzą — ukochać wielkość!
Jak gołąb cicho... miłosne oczy
zmrużyć przed wielką siłą szlachetną
to — prawo jej!

MĄŻ, gwałtownie.

Ty chcesz ode mnie potęgi ludzkiej!
Alem ja — kto?
Ja wodnik jestem z głębiny mroku,
z ogromnej, ciemnej przepaści wód!..

ŻONA.

Ja chcę, byś — wielki stanął przede mną,

bowiem to moje najświętsze prawo,
najdroższa cześć!

MĄŻ.

Szaleństwa żądasz!

ŻONA.

I tęskna jestem...

Poczynają zwolna odpływać, a każde w stronę przeciwną.

STARY.

Stójcie! powiedzcie! czy kto nie słyszał?..
zali nie wraca już do mnie syn?

ŻONA.

Twój syn ciekawy?

STARY.

Mój syn wędrowiec —

MĄŻ.

Zuchwały?.. wiem!

Oboje zbliżają się znowu do starca.

STARY.

Popłynął w górę, by oczy wynieść
kędyś, pod słońce, jeżeli jest. —

. . . .

Chwilkę się za nim krążyła woda. —
I ustał prąd,
i ucichł szum,
zaginął drogi jego ślad. —

. . . .

Po dnie błotnistem ja zwolna chodzę,
pomału nogi zgrzybiałe sunę,

z ciężkością głowę od piersi dźwigam,
z wysiłkiem chowam aż w sercu — łzy.
Czasem też poślę wzrok tęskny za nim —
Darmo! nad głową jest bezkres fal!

MĄŻ.

Dlaczego poszedł? —

STARY.

Mówiłem przecie!

MĄŻ.

Zuchwalstwo próżne, nic dla nas słońce!
Ono dla ludzkich stworzone oczu...

ŻONA.

Dla ludzkich tylko?..

MĄŻ.

My — syny głębin!

ŻONA.

Wy, ojcze, chyba świadomi nieco,
wy pono niegdyś bywali — tam?

STARY.

Hej! hej! a kiedy?..

Po chwili:

Niechże przypomnę!.. A tak, bywałem
jakoś nad wodą, gdzie inszy świat.
Ej! w boru — niegdyś...

ŻONA.

Co to bór, ojcze!

STARY.

Dawno!.. nie pomnę!.. I po co wam?

ŻONA.

To wyście leśny bywali rusał?
Teraz... pleśnieje wam grzbiet pochyły
w tym domu snu!

STARY.

Nie byłem rusał! Nie! inna rzecz!..
jam leśny strzelec w tym czasie był!

ŻONA.

Co to jest strzelec?

STARY.

Przypomnieć trudno; tak dawny czas!

ŻONA.

Byliście wtedy, powiedzcie, proszę,
niby człek — piękny?

STARY.

Ano... podobno!

ŻONA.

Czy to być może? Kiedy spoglądam
na wasze plecy wygięte w kabłąk,
na ten omszały jak w pleśni kark,
to mi nie sposób uwierzyć! nie!..

STARY.

Ha! nie wierz, dziecko!

ŻONA.

Grzbiet tak potwornie schyłony macie,
doprawdy — garb!

STARY.

Bo widzisz, cięży ten wody ogrom —
przepaść się kładzie na plecy moje
od mnóstwa lat! —
Na dnie przepaści kto prosty będzie?
Kto się nie zegnie? Ha! mówcie, kto?

ŻONA.

Więc i my z czasem... podobni jemu?..

MĄŻ.

Tak! a ty moją dziś krasą młodą
pogardzać śmiesz!

STARY.

Jam starość wasza. —

ŻONA.

O, Boże mój!

MĄŻ.

A mojej... dzisiaj młodości... krzywdę
uczynić chcesz!

ŻONA.

Ja tęskna jestem. —

MĄŻ.

Pragnęłaś dziwów... niebyłych w głębi.

ŻONA.

Jam wielce tęskna. —

MĄŻ.

Popsułaś szczęście obojgu nam!

ŻONA.

Hej!.. a gdzie szczęście?

MĄŻ.

Prysnęło tobie w niebacznej dłoni —

ŻONA.

Ja nie wiem, gdzie...

Z cichem pluśnięciem poczynają odpływać, ale nie razem, lecz w dwie strony przeciwne.

III.

Stary wodnik i młody.

MŁODY, wynurza się nagle.

Oj! dziadu, widzę, czekacie wciąż. —

STARY.

Popłynął w górę wędrowiec mój,
hen! oczy poniósł, gdzie słońce jest!..

MŁODY.

Och! jak mu dobrze!

STARY.

Ano... kto wie?..

MŁODY.

Jakto niedobrze? tęsknicy wyzbył,

która nam tutaj wygryza myśli
i serce żre...

STARY.

Tęsknica?.. Ha!

MŁODY.

Bo dom tu smętny —

STARY.

Wesela chcesz?

MŁODY.

Tu świat jest ciemny —

STARY.

Ano... i cóż?..

MŁODY.

Tu świat — okropny!

STARY.

Czegoż się tobie zachciewa, dziecko?
Przywykłeś już!

MŁODY.

Ja chcę: by... kiedy odetchnę piersią,
nie wchodził w usta me lepki muł...

STARY.

Hi! skromna żądza!

MŁODY.

Bo czemże jesteś? ty, dom rodzony,
żałosny dom!..

Przepaść — nie przepaść, bo w tobie ciemno
i braknie tchu!
Oto, będąc w tobie, patrzę:
wkoło mrok!
Oto, pragnąc tak oddechu,
jeno wodę wciągam w piersi,
jeno tracę dech!
Gdybyż woda czysta była,
gdyby jasną pić...
Lecz nie! osad po niej... brudny!
Czuję straszny osad w gardle,
błoto... muł! —

GŁOS, w głębi.

Krańcowy jesteś!

STARY.

Aha! rozsądny przemówił wodnik:
młodzieńcze: sza!



(Dokończenie.)

Jadwiga Marcinowska.

Dom „pod tonącą gwiazdą.“

Z PAMIĘTNIKÓW NIEZNAJOMEGO.



Resztka starego, ba, prastarego Paryża, rozpościerająca się naokół kościoła św. Juliana, jest powierzchownym stolicy francuzkiej zwiedzaczom zazwyczaj równie mało znana, jak sama owa odwieczna, przejściowo gotycka świątyńka, która, nawet przy teraźniejszem ubóstwie swem i obdarciu, należy jednak jeszcze do najrzadszych i najbardziej zajmujących pomników budownictwa paryzkiego. Znęcony architektonicznemi pięknościami, zwiedzałem kościół św. Juliana bardzo często i zazwyczaj pod wieczór, gdy odprawiały się w nim nieszpory. W zmroku zapadającego dnia i w dymie kadzideł wydawali się i wierni, obecni na nabożeństwie, niezwykle zajmującymi; kościół był mianowicie pozostawiony zamieszkałym w Paryżu

chrześcianom syryjskim, i wysokie ich postacie, ciemne oczy, śniade twarze, nadawały całemu zgromadzeniu obcą jakąś, niezwykłą powierzchowność. Czułem się tam jakby o sto mil od Sekwany, a o tysiąc od bulwarów, i miałem wrażenie, że wiew dalekiego wschodu, który zawsze tak marzący czar na mnie rzuca, równie tajemniczo muska mi twarz, jako w biblii, gdy wionie niepochwytny dech bóstwa, zanim samo ono przemówi.

A potem, okolica św. Juliana jest, dzięki bardziej południowemu charakterowi swemu i patynie minionych wieków, niewymownie malownicza, zwłaszcza pod wieczór, w stłumionem a jednak ciepłem ubarwieniu tych niezrównanych paryzkich zachodów słońca, w czarodziejstwach tego modrawego, prześwietlonego zmierzchu, który tak przedziwnie najbanalniejsze idealizuje ulice. Całe to otoczenie przypominało mi żywo kawał starej Florencyi, było to coś w rodzaju Merchato vecchio z żydowskiemi za niem ulicami, zanim szanowne te pomniki epok minionych runęły w gruzy pod motyką modernizującego szaleństwa i bezdusznej spekulacyi budowlanej. Odnosiłem istotną korzyść artystyczną, przyglądając się sąsiadującym ze św. Julianem budowom, tym wysokim, poczerniałym domom, chylącym się ku ruinie a chmurnie wypiętrzonym pod jasne niebiosa, tym przybytkom tajemniczym, za których niepomiernie nizkiemi drzwiami, lub też, naodwrót, wysokiemi, zwietrzałemi portalami ukazywały się perspektywy ciemnych przejść, korytarzy i schodów drewnianych. Zwłaszcza te schody oddziaływały często na moją wyobraźnię: nie byłbym się dziwił, gdyby nagle z których polała się struga krwi, tak wyglądały tragicznie! Co bo nie mogło się dziać w tych domach! Tam, na tem czwartem piętrze, gdzie w oknie siedzi czarny kocur, jakiś inny niż zwykłe kocury, mogłaby mieszkać czarownica, a ta stara kobieta z obwisłemi, siwemi włosami, wymyślająca niezro-

zumiale komuś w oknie piątego piętra i wytrząsająca dzikim ruchem obu rękoma nad próżnią, jeździła niewątpliwie za ciemnych nocy powietrzem na „czarne msze“ samego szatana. Za to, o kilka okien dalej mogła mieszkać sama poezya, wcielona w młode, piękne dziewczę, wykwitające z ruin zniszczonych przez wiek, niby lilia w baśni czarowna. Całe okiekno jej, w tym domu, podobnym z poczerniałości swej do jakiegoś zamczyska zaklętego, obrosła świeża, jasno zielona roślina pnąca, o czerwonych jak purpura kwiatach; złote promienie słońca migoczą śród liści, a śpiew drobnej ptaszyny, słodki, przeciągły, spływa z pod bujnych latorośli w powszednią wrzawę ulicy.

Dom ten zajmował mnie najbardziej ze wszystkich. Przypuściłem sobie do głowy i uparcie byłem przekonany, że mieszkają tam ludzie niezmiernie zajmujący. Ilekroć wyszedłem z kościoła św. Juliana, zatrzymywałem się mimowoli przed tym budynkiem i przyglądałem mu się ciekawie. Jednego razu, gdy zdjęto na nim zniszczony szyld jakiegoś kupca żelaza, który prawdopodobnie doszedł do ruiny (ten szyld wyglądał tak nieszczęśliwie!), ujrzałem ukryte pod nim, spękane jakieś godło, szczątek zapewne byłego portalu. Rozeznałem wyraźnie w tarczy tej heraldycznie stylizowane fale i pośród nich gwiazdę. Od owej chwili ochrzciłem ten czarny dom: „pod tonącą gwiazdą.“ Wydał mi się przez to jeszcze bardziej zajmującym i pragnąłem jeszcze żywiej dostać się kiedyś do ciemnego, mrocznego jego wnętrza. Pewnego dnia, zdarzyło mi się coś w rodzaju sposobności do urzeczywistnienia tej chętki.

Stałem właśnie na chodniku, zapatrzony w korytarz, wiodący ku schodom, gdy wtem z mrocznej jego głębi wyszła kobieta. Była już niemłoda i bardzo nieładna. Zuchwale zwróciła się do mnie, uśmiechnęła się wstrętnie i zachrypłym głosem jęła zapraszać mnie do siebie. Jednocześnie przyglądała mi się od stóp do głów. W jej za-

chowaniu się było coś podejrzanego, coś wychodzącego poza jej rzemiosło; miała w oczach jakąś badawczość przenikliwą, która mimowoli nasuwała podejrzenie złodziejstwa. Nie odpowiedziałem nic, ale odgadła bez słów moją odmowę. Zachmurzyła się i rzekła jakieś grubiaństwo. Nie pozostawało mi nic innego, jak pójść sobie, — i dnia tego wytrzeźwiałem trochę ze swych zapałów romantycznych.

Mniej więcej w tydzień potem, poszedłem znowu do św. Juliana. W kościele było tym razem dość pełno — i zatrzymałem się niedaleko wejścia. Po chwili, usłyszałem tuż koło siebie westchnienie, ale tak niezwykłe, wyrywające się widocznie z samego dna piersi, wywołane zapewne przez niepowszedni jakiś żal, westchnienie tak niewymownie bolesne, że ze wzruszeniem obejrzałem się na człowieka, który tak strasznie cierpiał. Ujrzałem o krok od siebie pod kolumną mężczyznę niemłodego już, porządnie, ale prawie ubogo odzianego, o twarzy, właściwie mówiąc, ani zajmującej, ani wyrazistej, z wyjątkiem ciemnych, zamyślonych, smutnych jakichś oczu. Nie wyglądało, aby się modlił. Poruszał wprawdzie w tej chwili ustami, ale raczej nerwowo, niespokojnie, niecierpliwie, potem przesunął po czole zżółkłą, suchą, uduchowioną ręką, westchnął znowu, lżej wszakże, niż przedtem, odrzucił znowu głowę w tył, mrużąc w znużeniu jakiemś oczy, i wreszcie, nie przeżegnawszy się, ani rzuciwszy okiem ku ołtarzowi, zawrócił się i powoli wyszedł z kościoła. Robił na mnie wrażenie człowieka, który chciałby być pobożnym, ale nie zdoła. Miałem uczucie, że i ja też nie zdołam tego, i żem w tej świątyni, dokąd po części ciekawość, a po części artystyczne zwabiło mię zajęcie, zupełnie nie na miejscu. Wyszedłem również mechanicznie z kościoła, z przykrem uczuciem wyklętego. Nagle ujrzałem owego mężczyznę, przechodzącego przez ulicę i zmierzającego prościutko do tajemniczego domą „pod tonącą

gwiazdą.“ Rozpędziłem się za nim, działając jakby bez woli, jakby we śnie, i stanąłem koło niego, właśnie gdy we drzwi wchodził.

— Panie — rzekłem.

Obejrzał się, przypatrzył mi się obojętnie i odrzekł: — Czego pan sobie życzy?

Teraz dopiero poczułem śmieszność swoją i swej sytuacyi. Jakże tu było tak jednem słowem wyrazić i wyjaśnić temu nieznajomemu cały łańcuch mniej lub więcej nieokreślonych wyobrażeń i romantycznych wątków, który ukułem w duszy pod sugestyą starego domu? W tej chwili nie wiedziałem sam dobrze, czego chcę. Wejść do domu? Któż mi bronił? Przedrzeć się do tajemnic jego? Czyż tam jakie były? Poznać się z tym nieznajomym? Czemu? Dla tego, że westchnął i że mieszkał może „pod tonącą gwiazdą“?

Zaczerwieniłem się lekko, wyciągnąłem przez szczęśliwe natchnienie własną swą chustkę i skłamałem zająkliwie:

— Panie, zdaje mi się, że zgubiłeś pan tę oto chustkę.

Sięgnął mechanicznie do kieszeni i odrzekł uprzejmie: „Nie. Mylisz się pan. Dziękuję.“ Uchylił kapelusza, skinął głową i poszedł. Znikł w mroku korytarza, i słyszałem skrzypienie tych trzęsących się schodów, z których ciągle jeszcze żadna struga krwi się nie lała. Śmiałem się sam z siebie tak szalenie, że musiałem śmiech tłumić chustką, która mi, niby ocalony sztandar po bitwie nieszczęśliwej, w ręku została. Cała rzecz wydała mi się teraz tak dziwacznie komiczną, że przez sam wstyd przerwałem swe wędrówki do św. Juliana. Dom „pod tonącą gwiazdą“ stracił dla mnie chwilowo, skutkiem tego wytrzeźwienia, cały dawny swój powab.

Zresztą, byłem wówczas bardzo zajęty. Szpital w którym odbywałem swe studya, był przepełniony. Zwłaszcza nerwowych „subjektów,“ jak się tam mówiło, było mnó-

stwo, i to z przypadkami zupełnie dla mnie nowemi. Zajmowało mię to niezmiernie, tak, że na czas jakiś zapomniałem o wszystkiem oprócz swych studyów specyalnych; ani rozrywki, ani korzyści artystyczne nie nęciły mnie teraz wcale. Duch mój przechodził kryzys, albo, lepiej mówiąc, zaczął wchodzić na drogę, wiodącą do kryzysu późniejszego. Podnietą do tego były owe właśnie „subjekty nerwowe“ w naszym szpitalu, oraz pewne doświadczenia z somnambuliczkami, które widywałem w klinice Salpetrière. Niezłomna dotąd wiara moja w nieomylność wiedzy dzisiejszej, w świadomy siebie pozytywizm, zaczynała się teraz właśnie chwiać, a oczom moim, zdumionym i nieodważającym się jeszcze pewnie spoglądać i obserwować bez lęku, ukazywało się, pośród tajemniczych mroków i mglistych oprzędów, nowe, nieprzeczuwane źródło poznania, tryskające z odmętowych jakichś, zwichrzonych bezdeni.

Częstokroć, dumając lub robiąc badania, uczuwałem nagły zawrót głowy i miałem wrażenie, że ziemia z pod nóg mi się usuwa. Niekiedy chodziłem, sam jak somnambulik, niepewnym krokiem po swym długim, wązkim pokoju, — i nagle opanowywał mię nieokreślony jakiś postrach, jak gdybym za chwilę miał stracić zmysły. Chwytałem wtedy za kapelusz i uciekałem z domu. Tułanie się i błąkanie po ulicach paryzkich, kędy taki rześki, wesoły, beztroski ruch wrzał naokół, oddziaływało na mnie wtedy zwykle niby kąpiel orzeźwiająca. Kończyły się takie przechadzki zazwyczaj wstąpieniem do małej, lecz eleganckiej kawiarni na bulwarze świętomichalskim, kędy pod wieczór koledzy moi ze studyów na wesołą schodzili się pogawędkę.

Pewnego razu, gdy, zatrzymany w domu przez chorobliwe jakieś wyczerpanie, po dwóch dniach niebytności zjawiłem się na tej naszej schadzce, zgromadzeni przyjaciele

powitali mnie jakby po pięcioletniem przynajmniej niewidzeniu.

— A propos — rzekł mi Anatol, jeden z nich, gdym po powitaniach zaczął ich wypytywać, co nowego słychać w szpitalu — à propos, Sewerynie, wspominałem cię wczoraj z niezwykłem zajęciem. Znasz, nie wiem, ile set języków, a wiesz, że my Francuzi zazwyczaj tylko ten nasz ojczysty jako tako umiemy —

Musiałem się uśmiechnąć. Zdobyłem tę sławę bajecznego lingwisty niesłychanie tanio. Przy jakichś okolicznościach wyszło przypadkiem na jaw, żem się za pobytu w Anglii i we Włoszech nauczył tamtejszych języków, potem wykryła się ta u Czechów niezbędna niemczyzna, a w końcu elementarna znajomość owej dla Francuzów tak tajemniczej skarbnicy różnych narzeczy słowiańskich. Gdy towarzysze moi spostrzegli mię kiedyś czytającego jakąś gazetę rosyjską, nie wiem już, w której kawiarni, zaimponowała im ta „azbuka“ nie do uwierzenia.

— Cóż ci tak żywo przypomniało moją uczoność? — spytałem Anatola, w odpowiedzi na jego żartobliwie przesadną wzmiankę o mojem znawstwie języków.

— Wyobraź sobie, — odrzekł, — w czasie twojej nieobecności zdarzyło się nieszczęście na ulicy. Wywrócił się omnibus — i było wiele osób lżej lub ciężej ranionych. Jednego z tych biedaków przywieziono do nas do szpitala. W nocy przyszła silna gorączka, i majaczył na głos. Naprzód plótł coś od rzeczy po angielsku, potem, w głębokiem jakiemś wzruszeniu, począł mówić, z tragicznym akcentem, jakąś mową zupełnie mi obcą, bardzo melodyjną, ale dziwną, egzotyczną. Nie wiem, czy było to narzecze indyjskie, czy jakieś słowiańskie. Wtedy przyszła mi na myśl twoja wiedza.

— Zobaczymy jutro — rzekłem, i rozmowa urwała się o tej kwestyi.

Nazajutrz wszakże nie poszedłem rano do szpitala, jak w przeddzień wieczór sobie zamierzyłem. Nie czułem się jakoś w usposobieniu. Byłem bez przyczyny głęboko rozstrojony. Napróżno doszukiwałem się, co mi właściwie było, co mogło powodować ten smutek i nieokreślony jakiś niepokój.

Doszedłem do wniosku, że miałem w nocy jakiś przykry sen, którego rano już nie pamiętałem, ale skutkiem którego pozostało mi w myśli coś niby czarny cień. Wyszedłem z domu wcześnie. Ranek był piękny, i gdy znalazłem się nad Sekwaną, zachęciła mię świeżo połyskująca jej woda do przejażdżki po łagodnie kołyszących się falach. Wsiadłem na mały, właśnie odchodzący parowiec i pojechałem w dół rzeki aż do St. Cloud. Nie było tam żywej duszy; przechadzałem się długo z prawdziwą rozkoszą pod szumiącemi drzewami. W skromnej restauracyi siadłem również zupełnie sam do późnego śniadania, a potem chodziłem znowu tak długo, aż zmordowany padłem w trawę na wzgórzu, z którego szeroki i piękny otwierał się widok. Mój ranny zły humor znikł bez śladu — i czułem w duszy harmonię i spokój. W cichej ekstazie ogarniałem w uścisk ziemię i niebo, miałem uczucie, że muszę ją ucałować, tę „naszą matkę ziemię,“ jak lud z poetyczną śpiewa tkliwością, ale nagle, śród tego rozradowania słoneczną światłością, padła mi znowu na serce niewyjaśniona jakaś melancholia, niby cień od ciągnącej przez nieboskłon chmury. Wydało mi się nagle, że patrzę na tę matkę naszą, ziemię, z jakiegoś punktu poza nią, i widziałem ją całą, całą, nietylko tę jej część przed sobą, jak szerzyła się w objęciu niezmierzonego widnokręgu, aż do ograniczających ją u skraju nieba mgieł. I naraz wiedziałem, przez jakiś błysk pamięci, że w nocy, w tym zapomnianym rano śnie, tak właśnie ujrzałem ją całą, i wizya ta na okamgnienie w pełnej znowu stała

przede mną wyrazistości... Całą widziałem ją, tę ziemię naszą, lecącą szalenie przez nieogarnione przestworza wszechświata, lecącą kędyś za niepojętym, nieznanym celem. Dokąd? Dokąd i poco? Kto odpowie na to pytanie?..

Widziałem ją, jak leciała przez tę próżnię zawrotną, nietylko w tem okamgnieniu, lecz od niepamiętnie dawnego początku do nieogarnionej, niedojrzanej przyszłości, bez tchu, wyjąc, naoślep, jak zwierze szczwane grozą niewidzialnej jakiejś rozwścieczonej sfory, więcej niż tytanicznej, niewyobrażalnie przerażającej, bezopornie potężnej. Leciała, okryta pianą wzburzonych swych wód i mórz, ze zjeżonemi włosami swych praborów, z nieregularnie, dziko tłukącem sercem swych wulkanów, z pałającą myślą swej żyjącej ludzkości i ze smętkiem swych obumarłych, zapadłych w przeszłość cywilizacyj... Naokół niej świeciła w tym straszliwym locie lazurowa glorya jej widnokręgu, boski uśmiech nad otchłaniami zgróz, a w pradawnej jej pamięci migały widma granitowych świątyń egipskich, białych marmurowych chramów helleńskich, i strzelały wzwyż, powietrznie zmógłszy materyę, sklepienia katedr gotyckich... W piersi jej grzmiały nadludzkie poezye Izajasza i Ajschylosa, dzwoniły odgłosy Iliady i Ramajany. Z gigantycznemi fanfarami bronzowych tych trąb i z magicznym szelestem harf onych złotych mieszała się skarga ludzkiej nędzy i męki zwierzęcej — ale ponad te westchnienia niezmiernego smutku wzbijał się, niby radosny przybój fal, hymn niebo zdobywającej psychy człowieczej, wybuchały boskim równe chóry wysiłków ludzkich ku ideałowi, i w śmiertelnym lęku swym przyciskała matka ziemia, jako pociechę najwyższą i pychę najświętszą, garstkę lilij polnych z królestwa bożego oraz biały lotos Buddy do ciężko dyszących i boleśnie jęczących piersi!.. I wyciągnąłem ręce do tej wizyi, i zawołałem we wnętrzu swem:

„Dokąd porywa cię, o matko nasza, przeznaczenie twe tak nieodparcie? Ku zagubie, czy ku Bogu bliżej? Anioł-że czy demon cię wlecze, o myśli ludzka, o ludzki ideale? Zapadniesz w nicość czy też wzrośniesz do niebios? Niebiosa ci nie starczą i nie ogarną ciebie!.. A jednak, biada, gdybyś tylko zaginąć miała bez śladu i gdyby próżne nic było twym celem?..“ Ręce opadły mi, ukryłem twarz w wysokiej trawie, męka niezmierna ścisnęła mi serce, było mi tak niewymownie żal tej ludzkiej myśli i tego wysiłku, cień padł na mnie ciężki jak ołów, wszystkie dążenia ludzkie wydały mi się marnością, wszystka miłość — snem próżnym, wszystka wiedza ludzka — nicością. Demon negacyi stał nade mną, i ciężki, czarny ten cień padał z jego skrzydeł. Miałem wrażenie, że wszystko runęło we mnie, i że to moje małe ja pogrzebały gruzy walącego się gmachu podkopanej przeczeniem, wymarzonej tylko wielkości ludzkiej. Leżałem cicho w trawie z zamkniętemi oczyma, nie żyłem, oddychałem tylko i czułem swój ciężar. Ale coś, co było ponad tem oddychającem ciałem, poza tym ciężarem, coś w rodzaju innego jakiegoś istnienia, które z tym ciężarem i tem oddychaniem nie miało nic wspólnego, a które jednak było w mej świadomości cielesnego człowieka, jęło ukazywać mi się nieokreślnie, na podobieństwo snu: czułem się ze zdumieniem jednym — aby tak rzec — we dwóch osobach. Było to jako piorun i jako sen, jako objawienie i obserwacya zarazem: objawiłem się sobie i patrzałem na siebie. Czułem to wszystko bardzo niewyraźnie, tak niewyraźnie, jak teraz wysłowić zdołam to wrażenie, ale dość było tego, aby cień negacyi i próżnego powątpiewania rozpłynął się jak chmura przelotna. Nadmateryalne moje ja ozwało się było i w mej przez materyę ograniczonej świadomości, niby gwiazda, co na okamgnienie błyśnie w pomroce. W tejże chwili zaśpiewał skowronek unoszący się nade mną, jasna

pieśń jego polała się ciepłą falą w me serce i przeniknęła mię nawskroś, niby promień światłości. Ten słodki śpiew był mi jako słowo nadziei. Przyszedł mi na myśl poemacik Shelley'a o skowronku. „And singing still dost soar, and soaring ever singest“ — szepnąłem, i chmura moja rozwiała się.

Z sercem mniej lekkiem wprawdzie, niż gdy wstępowałem na to wzgórze, ale bez porównania mniej posępnem, niż było przed chwilą, zeszedłem w dół ku rzece i popłynąłem z powrotem do miasta. Podczas jazdy nie mogłem w zupełności powstrzymać się od rozmyślań, acz zmuszałem się do brania raczej udziału w wesołej rozmowie spółtowarzyszów podróży. Gdzieś na brzegu stawiano właśnie dom.

— Pracuj, — rzekłem sobie cicho, — pracuj, jak ci tam robotnicy. Każdy z nich spełnia swoje zadanie i nie rozmyśla o całości, którą nie on zaprojektował i za którą nie on odpowiada.

Ale uczułem wnet kulawość tego porównania — i nie uspokoiło mnie ono. Z całej tej paraboli zapamiętałem jedno tylko słowo: „pracuj,“ i wedle niego zamierzyłem sobie postępować. Dla tego też, gdy przybiliśmy w mieście do wybrzeża, poszedłem prosto do naszego szpitala, acz dzień chylił się już ku wieczorowi i acz wiedziałem, że dziś zapewne nie na wiele się już tam przydam.

Na korytarzu spotkałem Anatola. Powitał mnie zdaleka, wołając z uśmiechem:

— Jakże w czas przychodzisz! Jakby na zawołanie! Tamten chory bredzi właśnie w tym szczególnym języku. Pójdź, posłuchaj i zaspokój moją ciekawość.

Pociągnął mnie za rękę do wielkiej komnaty, z której wyszedł przed chwilą. Powietrze było tam świeże, bo dokoła ścian stało stosunkowo mało łóżek, a pod otwartemi oknami szumiały stare drzewa szpitalnego ogrodu.

Niebo zaglądające do pokoju było jasne, całe blado żółte, jakie bywa w chwili rozpoczynającego się zachodu; na żółtawem tem tle migały wdzięcznie sylwetki jaskółek, a szczebiot wróbli wpadał wesoło ze dworu do sali. Siostra miłosierdzia siedziała przy łożu, ku któremu wiódł mię Anatol; z tego szpitala nie wypędzono jeszcze brutalnie zakonnic. Wstała spokojnie, gdyśmy się zbliżyli; nie była ani młoda, ani piękna, ale wyraz twarzy miała przyjemny, a zachowanie pełne bezwiednej godności. Zabrała jakiś przedmiot i oddaliła się niedosłyszalnym krokiem. Spojrzałem na chorego. Był to mężczyzna niemłody już, nie mający nic szczególnego w swej fizyognomii, z wyjątkiem oczu nader wyrazistych i świecących teraz podniesionym w gorączce blaskiem. Zdawało się, że spojrzeniem przeprowadza odchodzącą zakonnicę. Mówił półszeptem, w jakiemś poruszeniu, głos miał przyjemny, płynęło zeń coś marzącego. Nie mówił wszakże żadnym egzotycznym językiem, majaczył w tej chwili poprawną angielszczyzną z bardzo nieznacznym akcentem cudzoziemskim.

— To jest najstarsza z tych sióstr, — mówił przed siebie, jak gdyby, recytując, — najstarsza z tych sióstr...

— Kto? Ta siostra miłosierna? — spytał Anatol, który dość dobrze umiał po angielsku.

— Miłosierna? — odpowiedział majaczący z jakiemś zdumieniem. — Nie znam, nie wiem... — Spojrzenie jego skierowało się ku sufitowi; milczał chwilę, potem jął mówić znowu: — Matka łez, najstarsza z tych trzech... Mater lacrymarum! Ta, co woła za znikłemi na wieki postaciami! Stała w Ramie, gdzie słyszano głos wyrzekający, — Rachel płacząca za dziećmi swemi i odrzucająca wszelką pociechę! Stała w Betlehem, gdy miecz Heroda mordował niewiniątka... Matka łez, matka łez!..

Przymknął na chwilę oczy, potem naraz otworzył je

szeroko i — ku memu wielkiemu zdumieniu — najdźwięczniejszą zawołał słowacczyzną:

— Gwiazdy, gwiazdy, gwiazdy! Co ich jest, co ich jest! Ulewa cała — a oto demon wlecze tę naszą ziemię, trzyma ją za zielone jej włosy, leci z nią, leci, leci! Zatapia się z nią w białej pianie wzburzonej mlecznej drogi, w wirze szaleńczo pierzchłych z orbit konstelacyj, w odmęcie komet potwornych, w żarze pękających z rozhukiem słońc! Teraz wlecze ją przez czarną próżnię! Jęczy ta stara matka nasza, jęczy rozpacznie! O macocho, jakżeś ubroczona krwią, jak pokalana nierządem! Ale żal mi ciebie jednak. Nie sądź jej, Boże, — jeśliś jest!

Po ostatnich słowach zaśmiał się przerażająco, jak waryat. Stałem jak skamieniały. To widzenie majaczącego godziło się tak uderzająco z mojem własnem, które przeżyłem niedawno na wzgórzu w St. Cloud, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, czy nie ulegam jakiej halucynacyi sluchowej, albo czy nie śpię i czy nie śni mi się znowu ten sam sen w zmienionej nieco postaci.

— Co mówi? czy rozumiesz go? — pytał szeptem Anatol, a gdy mu zaraz nie odpowiedziałem, dodał zaniepokojony: — Jesteś jakiś blady, patrzysz tak dziwnie, co ci jest?

Pochyliłem się, nie zważając na Anatola, ku choremu i rzekłem mu po czesku: — Znasz mnie pan?

Pytanie to nie miało żadnego sensu, bo też właściwie nie wiedziałem nawet, o co się pytam. Chory patrzał na mnie milcząco swym chmurnym wzrokiem. Czeskie odezwanie się moje nie zdziwiło go bynajmniej, tak właśnie, jak nic nie dziwi majaczącego lub śniącego.

— Znam, znam, owszem, — odrzekł po chwili.

— Któż-em ja tedy? — spytałem.

— Ten, co idzie skrajem przepaści, — odpowiedział.

Odpowiedź ta poruszyła mię głęboko; zadrżałem mi-

mowoli. Toż to, co mówił, było prawdą, — czyliż nie zataczałem się niepewnie nad przepaścią zagadek i powątpiewań?

Anatol, widząc, że milczę, sam o coś spytał chorego, ale ten okazał teraz wielką niechęć.

— Dajcie mi, panowie, pokój, — rzekł. — Senność mnie ogarnia, jestem znużony, czyliż nie widzicie, jak cierpię, cierpię, cierpię?

I głębokie westchnienie wydarło mu się z piersi, takie ciężkie, takie szczególne, takie niezwykłe, że drgnąłem cały. Nie słyszał-żem już kiedyś tego westchnienia? Jak przez objawienie nagłe, poznałem teraz człowieka leżącego przede mną na łóżku: był to ten sam, który niezwykłem swojem westchnieniem w kościele św. Juliana tak mnie uderzył niedawno? Jakże mogłem nie poznać go od pierwszego spojrzenia! Jak mogłem nie poznać tych ciemnych, śmiertelnie smutnych oczu, które teraz przymykał! Milczał i oddychał dość spokojnie. Siostra miłosierdzia powróciła i, podczas gdy, wzburzony i wzruszony, wpatrywałem się w bladą twarz chorego, rozmawiała cicho z Anatolem, który, wreszcie, widząc, że się nie poruszam, pociągnął mnie za rękaw.

— Pójdźmy, — rzekł, — nie przeszkadzajmy mu spać.

— Ma w sobie coś w rodzaju tyfusu, to widoczne, — dodał na korytarzu. — Rany, będące skutkiem tego wywrócenia się omnibusu, ma biedak tylko tak w dodatku. Ale nie powiedziałeś mi jeszcze, w jakim bredził języku?

Powiedziałem mu to, objaśniłem pokrótce, o czem majaczył, — i rozeszliśmy się.

Wrażenie tego dnia było głębokie; miałem uczucie, żem silnie, trwale związany z chorym, który długo leżał w naszym szpitalu; odwiedzałem go pilnie po kilka razy na dzień i wyrządzałem mu z prawdziwą radością wszelkie możliwe usługi. Był mi wdzięczny za te dowody szczere-

go współczucia, i powoli jęło rozwijać się między nami coś w rodzaju cichej, dyskretnej przyjaźni. Nie okazywałem żadnej ciekawości, a chory unikał widocznie zwierzeń co do swych kolei życiowych. Słowak z pochodzenia, zwał się Daniel Rojko. Był teraz małym urzędnikiem prywatnym w jakimś wielkim zakładzie przemysłowym w Paryżu. Gdy mi to powtarzał w dobie bliższego, zaufańszego poznawania się nawzajem, uśmiechnął się, ale z uśmiechem połączyło się bolesne, gorzkie jakieś ust ściągnięcie.

— Do jak niewielkich rzeczy, — rzekł jakby mimowoli, — dobiłem się w życiu! Cóż zostało z wielkich niegdyś ambicyj, co z fantastycznych planów, snów chimerycznych, utopijnych wysiłków i dążeń?

— Tak się dzieje nam wszystkim, — rzekłem smutnie. — Świat nas oszukuje —

— Nie, — odparł w zamyśleniu, — oszukujemy siebie sami. Szukamy w ludziach i w świecie zawsze tylko tego, co sami sobie we wnętrzu własnem wytworzymy, a jeżeli to, cośmy znaleźli, nie odpowiada temu, czegośmy szukali, — skarżymy się i wyrzekamy.

— Nie jesteś pan pobłażliwy dla siebie, — rzekłem.

Nie odpowiedział. Zamyślił się głęboko.

— Jestem tak nieskończenie nędzny, — szepnął po chwili, tak cicho, że ledwie·m to dosłyszał. Popatrzył na mnie. — Kiedyś, — dodał, — powiem panu coś o sobie — — może.

Nie odpowiedziałem, nie okazałem żadnej ciekawości — i nie było to bynajmniej udanie. Wyraz jego oczu był tak nieskończenie smutny, że współczucie przemogło we mnie wszystkie inne wrażenia. Uścisnąłem mu tylko, żegnając się z nim dnia tego, dłoń goręcej niż zwykle. Przez długi czas potem nie mieliśmy podobnej rozmowy,

i nie myślałem już nawet o jego obietnicy, że mi opowie coś o swych losach, gdy pewnego dnia, w ogrodzie szpitalnym, Rojko, siedząc ze mną, już jako rekonwalescent, pod cieniem starego platanu na drewnianej ławeczce, nie wiem już, w jakim związku z naszą w owej chwili pogawędką, tak nagle zaczął opowiadać:

(Ciąg dalszy)

Juliusz Zeyer.

Z utworów G. Pascoli'ego.

NIEŚMIERTELNOŚĆ.

I.

Omar, samotna źrenica, wzrok boga
bystry i twórczy, co świecąc w dal płynie,
u Mauzoleum Karyjskiego proga

rzekł: — Nie więź ducha w niechybnej ruinie,
nieszczęsny, któryś odkuł w martwej skale
tę piękną, białą z kołczanem boginię,

i któryś w całej potędze i chwale
wskrzesił heroja na dzikim rumaku:
— toczą twój marmur i kruszą metale

wieki, idące w spokojnym orszaku.

II.

Za dziesięć wieków, dwadzieścia — heroja
prochy pustynnych schłonie piasków morze,
dymem bogini będzie biała twoja.

Marność! Lecz jasne dzieło, które tworzę
potęgą słowa i myśli polotem,
odbija w sobie przyszłych wieków zorzę

i żyje słońca złotego żywotem.

III.

I umrze twoje dzieło, umrze przeto!
— zawołał Abdul, spokojna i szczera
źrenica. — Umrze i słońce, poeto.

Kiedy?.. Dla ciebie puls słońca, to era,
każde twe tętno, to chwila jest nowa:
ale dla tego, kto śmiercią umiera,

chwile i wieki — rzecz jedna, dwa słowa.

IV.

Rzekł. — I poeta nazawsze zaniechał
przemijających swych hymnów. Jedynie
do słońca, wiosny i róż się uśmiechał.

Milczał. — Umierał, gdy mdlała w gęstwinie
pobliskiej piosnka słowicza szalona.
Rzekł: To ma wartość, co nigdy nie ginie:

nie ginie dla nas to, co z nami kona.

FELICITAS.

Ta, którą-m gonił, to jeszcze nie Ona
była? — Nie ona, to była ta Złuda,
dziwnie podobna do niej. Pochwycona

niknie: to wszystko Atlanta są cuda. —
— A czy ją znajdę w tym wielkim kastelu? —
— Błędny rycerzu, może wam się uda. —

— Czy ją zobaczę?.. — O nie, przyjacielu!.. —
— Och! — Widzisz — niema; nie widzisz — jest, woła:
tak zwodził Atłant rycerzy już wielu. —

— I któż ją ujrzy? — Kto księgę tę zdoła
przeczytać, błędny rycerzu. — Ta księga?.. —
— O, kto ją czytał, nie powie nic zgoła. —

— A gdy przeczytam? — Atlanta potęga
runie. — I wtedy? — Wtedy ją ujrzycie. —
— ... Gdzie zamek?! — Zgorzał. Dym w niebo już sięga ... —

— Co to? — O, błędny rycerzu, to Życie. —

KSIĘGA. I.

Na stole z dębu, w wysokiej altanie,
otwarta księga. Ten dąb świeżo ścięty
niedawno jeszcze wsłuchiwał się w granie

burzy północnej i w wichrów lamenty,
a księga była stara. Zda się, słyszę,
jak robak śmierci toczy ją zawzięty.

Nie sam tu jestem. Ktoś w altany ciszę
wszedł... (nie, cóż znowu, zkąd, przez jakie wnijście?
z gór wicher zleciał i drzwiami kołysze.)

Ktoś jest. Szeleszczą, jakby zeschłe liście,
karty pożółkłe tej księgi otwartej...
Przed księgą człowiek stoi oczywiście,

jak myśl niewidny, i przewraca karty.

II.

Człowiek jest tutaj i prędko przewraca
karty od pierwszej do ostatniej strony,
później powoli do pierwszej zawraca.

A potem, jakby zniecierpliwiony,
po dziesięć, po sto, gniewnemi rękoma
przewraca karty w tej księdze zniszczonej.

I znów zaczyna. Ostrożnie i pomalenku,) po jednej — — lecz w miarę szukania*
coraz to prędzej... Nagle, nieruchoma

zawisła cisza, cisza zadumania...
Co, znalazł? Czyta w tej księdze otwartej? —
Czyta. Przez chwilę wyrazy pochłania

i znów przewraca pogniecione karty.

---

*) E poi li svolge a uno, a uno, lenta —
mente, esitando...

III.

I szuka jeszcze, choć wszystkie litery
w jedno się zlały, o zmierzchu, w purpurze
obłoków, gnanych przez gniewne chimery.

I szuka jeszcze, choć wisząca w górze
ciemność zleciała i przyniosła ciszę,
a na niebiosach zapłonęły róże

błogosławionej Nocy. Szuka; słyszę
szelest kart suchy wśród pieśni tysiąca,
któremi ziemię chór syren kołysze.

Zawsze, od wschodu do zachodu słońca,
jak Myśl niewidny dla mojej źrenicy,
szuka i szuka od końca do końca

tu, pod gwiazdami, w księdze Tajemnicy.

PRZEŁOŻYŁA Anna Bronisławska.

Wiek i człowiek.

MIASTO, W KTÓREM SIĘ NIE MA CZASU.

Nie mam czasu!
Nie ma czasu!
Nie mamy czasu!
Nie macie czasu!
Oto krzyk Paryża.
Odmienia on słowo:

NIE MIEĆ CZASU! Słówko krótkie i łatwe do wymówienia. — Lecz ileż na nie rzeczy się składa! I iluż rzeczom jest ono przeszkodą!

Paryż jest ogniskiem świata. Trzeba mówić o nim. By o nim mówić, trzeba go znać. Ale, żeby go znać dobrze, trzeba nań patrzeć z odległości.

To patrzę nań zbliska.

To patrzę nań zdaleka.

Widzę go dobrze, tylko gdy zdaleka nań patrzę.

O prawdo paradoksu! Prawdo zapoznana jak wszelkie prawdy!

Za czasów mej wczesnej młodości spór literacki, spór intelektualny rozgrzewał i porywał umysły. — Myśli nasze były żarliwe, słowa palące.

Namawiają mnie usilnie do przelania na papier swych wspomnień, i wątpię, czy zdołam się oprzeć tej radzie niebezpiecznej. Ileż idei! ile uczuć! ile poglądów! ile namiętności! Jakież natężenie pracy widziałem i odczuwałem!

Gdzież się podział zapał? Obecnie ludzie stali się po większej części geszefciarzami.

Czemże zaś jest geszefciarz? Geszefciarz to człowiek, który nie ma czasu.

Nim potępicie to przerażające określenie, zechciejcie się chwilę nad niem zastanowić.

Paryżanin był ongi „pracownikiem ducha, literatem.“ — Obecnie jest czasami, jest często „geszefciarzem.“ Nie mówię: ZAWSZE. — Nie chcę przesadzać, gdyż nie chcę kłamać, a przesada, według Józefa de Maistre, jest kłamstwem ludzi uczciwych. — Z góry wyjmuję wszystkich protestujących, gdyż protest zasługuje sam przez się na uwzględnienie natychmiastowe. Ale koniec końców Paryżanin jest często geszefciarzem, a geszefciarz to ten, który nie ma czasu.

Paryż robi wrażenie mrowiska, w którem każda mrówka dźwiga swoje brzemię. Ludzie popychają się, trącają, zagadują — ale się nie widzą.

Każdy grzęźnie w tłumie stosunków, w tłumie osób, w tłumie rzeczy, w tłumie sprzeczności, zdarzeń, trudności, niezadowoleń, — także w tłumie kompromisów, skrzyżowań, złożoności. — To przemnóstwo zmienia się co chwila co do stroju i kształtu. Ale jest to zawsze mnóstwo pomnożone przez mnóstwo.

Spotykacie człowieka, przyjaciela, brata. Towarzysz — współbrat — najwidoczniej pochodzi od brata.

Jesteście pełni myśli, uczuć, które trzebaby mu zwierzyć, w interesie wspólnego dzieła.

Wasze myśli są mu potrzebne; wam znowu potrzeba jego myśli, wymiana jest konieczna.

Ale on nie ma czasu.

Czekają nań interesa, upominają się o niego, rzucają się nań, skuły go i ciągną, spętawszy mu ręce i nogi, do lochu, w którym pochłaniają swe ofiary.

I czujecie w sobie zamieranie wszystkich słów, które miały się narodzić; umierają nietylko na waszych wargach, umierają w waszej duszy. Gdyż paryżanin, który powinien was był wysłuchać, którego trzeba wam było wysłuchać, nie ma czasu słuchać.

Nie ma czasu! straszne słowo!

Słowo, które należałoby zbadać w jego okrutnych głębokościach.

Nie ma czasu pracować. Nie ma czasu miłować. Przechodzi koło niego coś ważnego, nieznanego, czego poznanie jest niezbędne, — on nie ma czasu, by spotrzedz to. Nie ma czasu działać! Gdyż działać i kręcić się nie są synonimami. On się kręci, kręci, kręci. Rozdaje, na prawo, na lewo, wyrazy, uściski dłoni, a wzrok jego, roztargniony pośpiechem, nie skupia się na niczem.

No, i wiecież, co mu się wymyka? wiecież, co dlań zostaje niewiadomem? wiecież, co on zapoznaje? wiecież, o czem zapomina? Między innemi i ponad wszystko—Paryż.

Paryż w swej istocie, Paryż rzeczywisty, wymyka mu się całkowicie.

Widzi bruk bulwarów.

Paryża nie widzi.

Nie myślcie, że do widzenia wystarcza oko. By widzieć, trzeba uważać. A uwaga wymaga czasu! Kto nie ma wiele czasu, nic nie widzi. Oko nie widzi tego, co

jest tuż przy niem. Gdy przez pewien czas mam Paryż tuż przy sobie, przestaję go widzieć.

Zdaleka widzę go doskonale. Co prawda, mam pod ręką jego dzienniki, jego książki, jego korespondencye prywatne i publiczne, wszystkie echa jego rozmów.

Wywołuję go, i ukazuje mi się. Mam przed oczyma Paryż i jego zjawienie.

Zbliska zapominam. Widzę składowe jego fragmenty, ale jego samego — nie, nie widzę.

Czyście nigdy nie stwierdzili następującego zjawiska:

Myślicie o jakiejkolwiek osobie.

Studyujecie ją, rozpatrujecie, rozważacie ją. Gotowiście piórem lub pędzlem zrobić jej wizerunek. Jeżeli wizerunek już zrobiony przez was lub kogo innego i jest tu pod waszym wzrokiem, dopełniacie go nowemi spostrzeżeniami.

Patrzycie, posiadacie; mówiliście lub macie przemówić, wymowa drga na waszych wargach.

Ktoś wchodzi — to właśnie osoba, której portret macie przed oczyma.

Tak, tak! ta sama! ta, którąście tak dobrze znali przed chwilą, która była przedmiotem waszego wewnętrznego wzroku, przedmiotem waszej kontemplacyi.

Wchodzi, ale NIE MA CZASU! żyje wśród interesów, wiecznie popychana, ma szorstkość osoby zajętej, którą jakieś zajście zaskoczyło i zatrzymuje. Pisze lub odbiera telegram. Szczegół ją pochłonął.

No! a wy — cóż się z wami dzieje? to, że ją tracicie z oczu.

Zetknięcie się z nią pośpieszne i nic nieznaczące zniweczyło w was pojęcie o niej, któreście przed chwilą posiadali.

Była daleko — widzieliście ją. Stanęła tuż przed wami — straciliście ją z oczu.

Otóż! ta osoba — to miasto Paryż.

Posyła ono na świat cały swe wypływy — dobre czy złe. Cały świat pełny jest jego zapachów i smrodów.

Jest ono nadzwyczaj wielomówne, jego koleje roznoszą codziennie po całej ziemi zamieszkanej niezliczone jego słowa. Ten potop książek i dzienników pokrywa góry i doliny.

I góry i doliny są przesiąknięte, przesycone wodami tego potopu.

Ta woda, płodna życiem i płodna śmiercią, zawiera i rozsiewa wszędy, dokąd docieczе, wszystkie własności, wszystkie energie chmury, która ją wylewa.

Świat cały jest płytą fotograficzną, odtwarzającą rysy Paryża.

I na płycie widać Paryż. Ale w samym Paryżu Paryż jest niewidzialny.

Nie ma czasu się pokazać. Nie ma czasu dać się słyszeć. — W teatrze tym aktorzy mówią za prędko.

Jednem słowem — Paryż zabiera widzowi czas potrzebny do przyjrzenia mu się.

WIELCY LUDZIE.

Jest na ziemi kategorya ludzi, godnych wyjątkowej litości i współczucia, a którym świat odmawia więcej niż komukolwiek współczucia i miłosierdza; to kategorya tych, których zowiemy wielkimi ludźmi.

Wielcy ludzie są Biednymi osobliwego gatunku, biedniejszymi od Biednych. Biedny to ten, któremu brak czegobądź. Człowiek jest tem biedniejszy, im więcej ma potrzeb. Ptaki nie mają rent państwowych, ale nie są biedne, bo nie mają potrzeb, lub dlatego, że, rozpostarłszy skrzydła, znajdują łatwo i bez zapobiegliwości uprzedniej zadowolenie potrzeb swoich.

Człowiek jest najbiedniejszem ze stworzeń. Człowiek jest przygnębiony potrzebami.

Ale wielki człowiek jest Nędzarzem, wobec którego bledną wszystkie inne nędze.

Wielki człowiek ma, naprzód, wszystkie potrzeby człowieka zwykłego i odczuwa je głębiej niż ktokolwiek.

Dalej, ma potrzeby inne, zarazem podnioślejsze i despotyczniejsze, wołające donośniej i słuchane słabiej, gdyż nie są rozumiane, potrzeby, których uwzględnienie jest prawie niemożliwe, gdyż inteligencya tłumu zamknięta jest dla ich wołań.

Gdyby Krzysztof Kolumb chodził był od drzwi do drzwi, żebrząc na Chleb zwyczajny, Chleb wszystkim potrzebny, równie ludziom jak wielkim ludziom, — wysłuchanoby go lepiej z pewnością. Ale on żebrał na swój własny Chleb: trzeba mu było okrętów dla odkrycia Ameryki. To był jego Chleb. — Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. Naszego! Nie Chleba sąsiada, ale Naszego, tego, którego nam potrzeba!

Otóż, Chleb wielkich ludzi jest nieskończenie rzadszy od Chleba ludzi zwykłych.

Dlatego to wielcy ludzie są biedni ubóstwem ludzi zwykłych, gdyż mają wszystkie potrzeby ludzkie, i biedni ubóstwem osobliwem, wyjątkowem, specyalnem, biedni ubóstwem Pragnień gigantycznych i niezwalczonych, na mocy których są wielkimi Ludźmi.

Istotnie, czemże jest ten Ubogi, którego zwiemy Imieniem groźnem wielkiego Człowieka?

Spróbuję odpowiedzieć na to pytanie.

Gdy w okoliczności uroczystej monarcha śle ambasadora do innego monarchy, — ambasadorowi temu powierzony jest sekret, którego mu niewolno odkryć nikomu, tylko samemu monarsze.

Gdy, w okoliczności uroczystej, Bóg śle Ludzkości człowieka uroczystego, — człowiekowi temu powierzony jest sekret, misya. Tylko tutaj sekret nazywa się Tajemnicą, i na mocy owej Tajemnicy wielki człowiek jest wielkim człowiekiem.

Mali ludzie ciągną swe znaczenie z czynów dokonywanych.

Bez czynów tych byliby absolutnie niczem. Wstępują niekiedy na swe czyny jak na deski sceny i ściągają wzrok tłumu. Żyją swemi czynami, wyzyskują je. Bębnią w kotły i mogą czasem narobić hałasu.

Ale sami w sobie nie mają trwania ani treści. Znikają widmowo. Okazują się zawsze niższymi od miejsca zajętego, od rezultatu osiągniętego. Własne dzieła miażdżą ich. Gdy dzieła te są raz spełnione, popełniciele ich wracają do właściwej sobie nicości. Przypadek, który ich narzucił, — odrzuca ich. — Po za jedną jedyną sposobnością stania się czemś, ludzie ci przestają istnieć.

Wielki człowiek, przeciwnie, jest wyższy od czynów swoich. Wzruszenie wywołane jego imieniem jest bardziej wiekuiste od zdarzeń jego Historyi.

To wzruszenie jest dzieckiem Tajemnicy, którą wielki człowiek w sobie nosi. Tajemnica jest jego cyfrą, jego tytułem, jego Imieniem.

Oto dlaczego wielki człowiek tak trudnym jest do osądzenia. Postępuje on na mocy czegoś, co pozostaje niewiadomem.

Ludzie zwyczajni mogą mu robić tysiąc zarzutów, prawdziwych lub fałszywych, sprawiedliwych lub niesprawiedliwych. — Powinniby jednak zawsze zachować względem niego cześć, jakiej wymaga obecność wielkiego Nieznanego. — Inaczej hańbią się, nie przyczyniając najmniejszego uszczerbku temu, którego shańbić zamyślali.

Wielki człowiek wymyka się ich razom, podczas gdy sami oni odnoszą rany bardzo poważne.

Ludzie zwykli, a nadewszystke ludzie niscy, uczuwają pewnego rodzaju pociąg do napadania na wielkich ludzi, pewnego rodzaju zadowolenie z tych napaści. Jest wiele mściwości w tej uciesze.

Napaści te mają pewne powodzenie. Ale nie łudźcie się. Powodzenie to zawdzięczają wielkiemu człowiekowi, którego znieważono. Zaciekawienie, które on budzi, nadaje nic nieznaczący rozgłos jego napastnikom. Ale ten śmieszny rozgłos będzie krótki i zniknie wraz z bluźniercą; człowiek, wielki człowiek zostanie, dostojny, niezdobyty na swej skale wiekuistej, a piętno ran, które mu zadać chciano, naznaczy czoła jego małych wrogów.

Kule dlań przeznaczone nie dosięgły jego podniosłości. Wracają i trafiają w tego, który je wymierzył.

Zaiste, nie mam tu zamiaru zakazywać krytyce historycznej poważnych badań nad życiem wielkich ludzi. Ma ona prawo i obowiązek żądania od nich obrachunków. Ale powinna sobie zdawać sprawę z pierwiastku przemyt-

niczego, który jest ich żywiołem. Powinna stać na wysokości Tajemnicy, do której przystępuje.

Napastnicy na wielkich ludzi robią im zarzuty niekiedy słuszne, częściej wszakże takie, które się słusznemi wydają. Czegóż tym ostatnim nie dostaje do sprawiedliwości? Brak im uświęcenia Idei, sprawiającej wielkość wielkiego człowieka. Napadają na oddzielne jego czyny. Nie dostrzegają tego, co czynów tych jest sprzęgiem i natchnieniem.

Ogólnie biorąc, mali ludzie wyrzucają wielkiemu człowiekowi, że nie postępował tak, jak oni, mali ludzie, byliby na jego miejscu postąpili.

I oczywiście, wielki człowiek, postępując jak mali ludzie, byłby sobie oszczędził tysiąca błędów, które może popełnił.

Jako wielki człowiek, miał tysiąc wad. Gdyby był postępował jak mali ludzie, zamiast owych tysiąca, posiadałby tylko jedną. ALE TĄ WADĄ BYŁOBY WŁAŚNIE TO, ŻE PRZESTAŁBY BYĆ WIELKIM CZŁOWIEKIEM.

Może pamiętacie tę słynną klacz, która miała wszystkie zalety, — prócz życia, i tylko tę jedną niedogodność, że zdechła.

Wielki człowiek, któryby sprostał życzeniom małych ludzi, miałby tę jedną niedogodność, że byłby do nich podobny.

Gdyby Krzysztof Kolumb miał był mniej uporu, nie byłby odkrył Ameryki.

Słyszę dziś wszystkie rady, jakiemi go zapewne częstowano:

„Ależ, mój kochany, bądźże rozsądny. Bądź tak jak my! Po co się wyróżniać? nie być jak wszyscy? Czyż

tego cię uczono? czy twoi bracia, przyjaciele, wujowie, dziadkowie, gnali kiedy na pełne morze, nie wiedząc, dokąd płyną? Oto do czego prowadzi Zarozumiałość!“

Ah, ileż tajemnic w tym wyrazie: Sprawiedliwość! Trzebaby naprzód zważyć góry, aby módz zmierzyć tego, który dźwigał je snadź na ramionach.

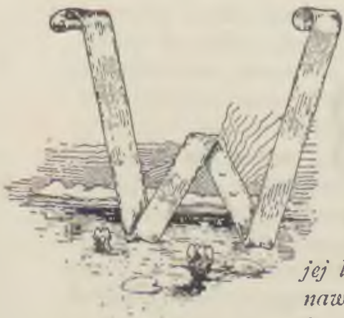
Tajemnicą Krzysztofa Kolumba była może Równowaga.

Ląd Stary narzucał mu poszukiwanie Nowego Lądu.

(Dokończenie.) Ernest Hello.

Sąsiedzi.

BAJECZKA.



W zapuszczonym ogrodzie, niezbyt daleko ztąd i niebardzo blizko, w miejscu, gdzie dawniej był kwietnik a dziś wszechwładnie rozpanoszyły się chwasty, pomiędzy innem zielskiem rosła lilia.

Sąsiedzi i sąsiadki, jako: oset, szalej, łopian, rdesty, pokrzywy, cykorya dzika, skrzypy i inne osoby, z początku uważały lilię za krewniaczkę, a mogły się mylić, patrząc na jej liście grube i zwyczajnie zielone. Otaczały ją nawet pewną opieką: każdy chwast, z lekka dając jej uczuć swoją wyższość, doradzał to lub owo. Oset — żeby sobie zapuściła kolce; pokrzywa — żeby starała się wyrobić w swoich liściach jak najwięcej jadu; babka — żywiącego soku; mlecz wypytywał lilię o kwiat i zachwalał swój puszek; łopian, pod pozorem osłaniania lilii cieniem, zabierał jej słońce i t. d. Lecz wreszcie, choć z wielkim trudem, lilia wygórowała nad zielsko i wydała kwiat — biały, wielki, bujny kielich.

Tu zakipiało w otoczeniu. Wszystkie chwasty oburzała ta bezwstydna wielkość kielicha i ta niepokalana jego białość. Jak można

coś podobnego! Jakie to aroganckie i zarazem niepraktyczne! Zdaleka rzuca się to każdemu w oczy i razi, bardzo razi...

Tak mówiły chwasty, a w duchu życzyły lilii śmierci, bo już doprawdy zanadto przygniatała ich dumę rzadką pięknością swego wzrostu i kwiatu.

Gdy wielu czego pragnie, łatwo to następuje — cóż dopiero, kiedy wszyscy. Jakoż niedługiem życiem rozkoszowała się lilia.

Do ogrodu, który dla swej opustoszałości mógłby był raczej zwać się rozgrodem, przez obalony płot wtargnął raz osieł. Bystry wzrok tego zwierza zaczął szukać jakiegoś POŻYTKU i wkrótce dojrzał ulubiony chwast — oset. Raźno pokroczył w tym kierunku i szybko zaczął wcielać do swego wnętrza kolczaste liście ostu. Ponieważ w tej czynności zawadzała mu lilia łaskotaniem w nozdrza, złamał ją, zdeptał, stratował; najadłszy się, ryknął — i poszedł dalej.



Jan Lemański.

GLOSSY.

Jubileusze, rocznice, plebiscyty, ankiety, konkursy stały się w ostatnich czasach strawą tak powszednią, tak często podawaną przez kuchmistrzów dziennikarskich i innych, i spożywaną przez społeczeństwo w tak nadmiernych ilościach, że koniecznem jest ze wszech miar zbadać jej higieniczność, przyjrzeć się sposobom jej przygotowywania, oraz skutkom przez nią wywoływanym. Sumienna autopsya jednych i drugich przekonywa nas najdowodniej, że w żadnej dziedzinie tylu co tu nie znaleźć falsyfikatów, *eo ipso* produktów szkodliwych, a niekiedy poprostu trujących. A w dodatku o dusze tu chodzi nie o ciała. — O konkursach mówiliśmy już kiedyś, stwierdzając faktami jałowość ich bez wyjątku prawie, i tłómacząc smutny ten wynik psychologią zbiorowego ciała sędziowskiego, którego członkowie, choćby każdy z osobna był wybitnie inteligentną jednostką, drogą porozumień i ustępstw wzajemnych dochodzą zwykle do zgody na nierażącą nikogo mierność. Dodać do tego należy psychologię drugiej strony, t. j., współubiegających się o nagrodę konkursową. Prawy artysta, który tworząc nie myśli o niczem innem, jedno o wcieleniu swej wizyi, o urzeczywistnieniu możebnie najdoskonalszego dzieła sztuki, mógłby, właściwie mówiąc, tylko przypadkowo znaleźć się w ich liczbie: gdyby o ogłoszonym konkursie dowiedział się dopiero w chwili, gdy utwór ma zupełnie gotowy. Inaczej sama myśl o współza-

wodnictwie, o warunkach konkursu, o terminie, i tym podobnych względach, obcych samej twórczości, mogłaby wywoływać niepożądane przystosowywania się lub choćby tylko roztargnienie uwagi, która winna się skupiać całkowicie i bezwzględnie na jedynym celu tworzenia. Aby prawy artysta, dopiero dowiedziawszy się o konkursie, zaczynał umyślnie pisać nań czy malować lub rzeźbić, — nie godziłoby się nawet przypuszczać, tak bardzo ta do pewnego stopnia praca na obstalunek, wydaje się w sprzeczności z jedynem twórców zadaniem. A jednak, znęceni czy to sławy, czy zysku nadzieją, biorą i oni, niestety, dość często udział w konkursach, co, naturalnie, na danem ich dziele natychmiast źle się odbija. I oto pierwszy, najgorszy, najszkodliwszy rezultat konkursów, iż demoralizują nawet niejednego z dobrych i zdolnych artystów, i to zazwyczaj bezowocnie. A jakby tego niedość jeszcze było, oto rozpasanie wszelkich dyletantyzmów i grafo- czy pinako-manij przy każdym, tak czy inaczej nazwanym konkursie, oto powodzie poronionych płodów, oto owe tysiące rzemieślniczo poprawnych płócien w każdym salonie paryzkim, oto owe setki naiwnych wprost w swem niedołęztwie utworów na każdym konkursie literackim. Co to szkodzi? „kupić nie kupić, potargować można," jak powiada jeden ze współzawodników w ostatnim konkursie Sienkiewiczowskim. Ci, którzy, narzekają na zbyt wielką ilość poetów (!?), a jednocześnie popierają i szeroko rozgłaszają wszelkie konkursy, winniby porządnie się zastanowić, ilu przez nie tych właśnie zbytecznych, nadliczbowych „poetów" sami przysparzają, bo takich tylko może być zadużo. Wreszcie, gwoli uzupełnieniu tego smutnego wpływu konkursów, przybywa jeszcze psychologia publiczności, skłonnej z natury i pełnej zapału do wszelkich *circenses*, walk, spółubiegań się, agonów, wyścigów, a podniecanej jeszcze przez rozwijaną dokoła każdego konkursu gadatliwość w prasie i przez tryumfalne okrzyki dziennikarzy, wprowadzających zwycięzcę niby ogiera tresowanego z wolnej ręki. Zgiełk jest tak wielki, zainteresowanie sportowe tak gorące, że po za obrębem tego pola wyścigowego może się zjawić rzecz doskonała, i nikt z publiczności jej nie dostrzeże. Nikogo z zadyszanych widzów nie obchodzi, kto dobre dzieło stworzył, wszyscy myślą tylko o jednem: kto zwyciężył, choćby tryumfatorem był najprzypadkowszy i najniezasłużeńszy *outsider*. I często tryumf (?) taki w komunał potem przechodzi: malarz, który dostał wzmiankę w salonie, cieszy się zawsze uznaniem publiczności, choćby zupełną był miernotą, a zdobywca pierwszej nagrody w konkursie literackim pozostaje nim na długo w pamięci ogółu, choćby się okazało, iż sędziowie haniebnie

się pomylili. — Że mimo to wszystko prasa uprawia coraz gorliwiej metodę konkursów, to się tłómaczy „polowaniem z naganką“ na nowych współpracowników, a bardziej jeszcze reklamą, rozgłosem, jakie zyskuje dane pismo na ogłoszonym przez siebie, a zawsze prawie gorliwie przez kolegów omawianym „wyścigu.“ Jest to zatem, ze stanowiska *celu,* ta sama kategorya, co dawniejsze premia oleodrukowe czy książkowe.

(Dok. nast.)

Tredecim.

POEZYA.

Jan Kasprowicz: — *Ginącemu światu.* Lwów. Towarzystwo Wydawnicze. — *Miłość.* Wydanie drugie. Z ilustracyami E. Okunia i E. M. Liliena. Lwów. Księgarnia Polska. — *Moja pieśń wieczorna.* Lwów. Księgarnia Polska. — *Salve regina.* Lwów. Księgarnia Polska.

Królewskie pieśni! Wielkie, uroczyste organowe tony! Majestatyczne symfonie wiekuistych, nieznikomych tęsknot i pragnień duszy! Na usta cisną się słowa najradośniejszego zachwytu, najgorętszego uwielbienia na widok niesłychanej, olśniewającej, cudownej transfiguracyi poety. Oto z niewolnika dotykalnej rzeczywistości, z głosiciela „szczęścia ziemskiego dla wszystkich,“ wołającego:

Skrzydła Ikarów, posklejane woskiem,
Rzućcie od siebie, a natomiast silną
Antejów stopę postawcie na ziemi,

urasta nam w oczach kolosalny, wyzwolony, orficzny pieśniarz najgłębszych, metafizycznych pierwiastków ducha człowieczego. Oto szlachetny, lecz z natury rzeczy powierzchowny filantrop, apostoł współczucia dla wszystkich doczesnych nędz i bólów ludzkich, przetwarza się w psalmistę bólu większego od tych przemijających, „urodzonych z nicości“ płaczów i jęków, bólu wiekuistego, żrącego, lecz razem tak świętego, zabójczego, lecz razem „zapładniającego światy,“ bólu duszy, czującej, że nieskończoność jest jej udziałem, a szarpiącej się beznadziejnie w więzach ograniczoności cielesnej. Oto Tyrteusz wszystkich nędzarzy, wszystkich uciemiężonych i wydziedziczonych, głoszący miłość dla nich, lecz razem — bo to jest klątwą wszelkich tyrteizmów — nienawiść dla ciemiężycieli, dla szczęśliwych i wielkich tego świata, zmienia się w arcykapłana tak wielkiej, że aż niepojętej tłumom miłości, miłości, której obca wszelka janusowość, miłości wszystko ogarniającej, „zapominającej, że jest granica między

złem i dobrem,“ i przeto cudotwórczej, świat cały przeobrazić zdolnej. Oto trybun, wódz stronnictwa, jawi nam się jako „zapomniany człowiek na rozdrożu,“ ale który,

skrzydłami trzepocąc,
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca,

wejrzał w „niezgłębione, nieobjęte moce,“ wczuł się w nieogarnioną jedność bytu, wchłonął ją niejako w siebie, i w którym teraz jak w ognisku zbiegają się wszystkie bytu promienie. Oto bard chaotycznych, oderwanych zdarzeń i zjawisk żywota, wtórzący ich zgiełkowi potężnym jak surma, lecz jak surma też chrapliwym niekiedy głosem, wydobywa nagle z piersi śpiew stokroć potężniejszy, „długi, przeciągły jak wichru powiewy,“ ale przytem czysty, przezroczy, jak rozdzwon stu tysięcy kryształowych dzwonów, wielki śpiew powszechny, nieprzemijający, na wsze czasy i kraje, w którym niepoliczone głosy bytu, zlane i sharmonizowane w duszy twórczej, w olbrzymią układają się symfonię.

Kolosalne, niewidzianej gwałtowności i tak późne, że aż niespodziane wyzwolenie się duszy z pod tyranii zewnętrzności! Przez to jarzmo któż nie przechodził? Oddziaływanie najbliższego pierścienia zjawisk cielesnych jest tak potężne, takie dominujące, takie brutalne, że — na podobieństwo światłości słońca, przy której nie możemy dojrzeć innych słońc, setki i miliony razy od naszego większych — przysłania nam wszystkie oddale, głuszy wszystkie subtelniejsze reakcye i przeczucia ducha i, pośród nieograniczoności bytu, zamyka nas w ciasnych murach wrażeń zmysłowych. Ludzie zwykli nie wychodzą nieraz przez całe życie z tego więzienia, a i poecie potrzeba dopiero — albo potężnych, świadomych, cofnięć się ducha w siebie, dla wytworzenia należytej oddali, odpowiednio stosunkującej perspektywy, albo też wielkich uciszeń się nocnych, pośród których objawiają się światy nieznane, wielkich samotnych wsłuchiwań się w dalekie szumy potoku życia, aby pochwycić prymordyalne, harmonizujące wszystko tony, głębokich nurkowań w morzu zjawisk, aby dotrzeć do ich istoty i uczuć nierozerwalność mikrokosmu duszy własnej i makrokosmu wszechświata. Stosunkowa słabość i płytkość pierwszych, młodzieńczych utworów, nawet u największych świata poetów, świadczy, że i oni stopniowo dopiero dochodzili do wyzwolenia dusznego, do owej Emersonowskiej potęgi marzenia, „która każdą moc poddaje twemu władaniu, która wdziera się w głąb’

rzeczy niezmiernie tajnych i niezmiernie skrytych, która z człowieka czyni przewodnik wszech prądów elektrycznych.“ Ale Kasprowicz nietylko mimowiednie, z natury istoty człowieczej, przez młodzieńczo-krótkowidzące przychylanie się ku bardziej oczywistym, najbliższym faktom materyalnym, ulegał temu jarzmu. Nienadaremnie był nadto dziecięciem trzeźwej, praktycznej epoki, która w przeciwieństwie do niebosiężnych wzlotów romantyzmu ubóstwiła dotykalną rzeczywistość, epoki odrzucającej wszystkie *Hirngespinnst'y*, powątpiewającej o wszystkiem, co zmysłom niedostępne, podporządkowującej wszystko dobrobytowi materyalnemu, epoki, dla której jedyną prawdą była prawda doświadczalna, jedynym celem — szczęście doczesne dla wszystkich, jedyną wiarą — postęp jakiś nieokreślony i fantastyczna jakaś równość, jedyną szlachetnością — współczucie dla nędzarzy i uciśnionych materyalnie, jedynem wymaganiem od wszystkich i od wszyskiego, a więc i od poezyi, — pożytek społeczny. Wstępujący w życie poeta przyjął z młodocianym zapałem wszystkie te nowe, gromko obwoływane hasła i doktryny, podał siebie i pieśń swoją na służbę światu — i skuł się jeszcze ściślej z zewnętrznością dobrowolnemi, świadomemi przekonaniami, które także umieją kneblować duszę i skrzydła jej przystrzygać. I była to — w publicystycznem życiu Kasprowicza — doba namiętności stronniczych, wystąpień nacechowanych chęcią prozelityzowania, napaści na „sztukę dla sztuki,“ braną lekkomyślnie, wzorem płytko myślących społeczników, za „cacko dla cacka,“ urągliwych odezwań się o poetach, którzy usuwali się od swarów społecznych, jako o ostrygach egoistycznie zamykających się w swej skorupie. I był to — w twórczości poetyckiej Kasprowicza — okres krzepkich, glebą pachnących malowideł wsi i grzmiących okrzyków bojowych, szorstko namiętnych wybuchów uczucia i melodramatycznych nieco obrazków nędzy, niefortunnego adaptowania, *ad usum* doktryny, najwznioślejszych tematów metafizycznych i twardego dydaktyzowania w pieśniach społecznych. Mocy w tem, a niekiedy i koloru bardzo wiele — ale życia wnętrznego nie czuć; szczerości dużo, ale głębi brak. Gdzieniegdzie tylko — i te miejsca są najlepsze, żyją po dzisiaj — zabrzmi cichutko, jakby przypadkiem wyrywające się westchnienie czy szloch wpółurwany, głos duszy...

Bo dusza wiła się, spętana i udręczona, w swojem więzieniu, pragnąc żyć, wypowiedzieć się, urzeczywistnić swe przeznaczenie. I pod jej zapewne tajemniczym nakazem, poeta, nie zdając sobie może z tego należytej sprawy, nadał, w przełomowej chwili pisania *Miłości,* drukującemu się wówczas, acz raczej do poprzedniej jeszcze

epoki należącemu zbiorkowi poezyj taki dla nas wymowny tytuł: *Anima lachrymans.*

(*Dokończenie.*) Miriam.

POWIEŚĆ.

Józef Weyssenhoff. *Sprawa Dołęgi.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Arne Garborg. *Utracony ojciec.* Warszawa. Spółka Wydawnicza. — Karol Dickens. *Powieść o dwu miastach*, przełożyła Hajota. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Eliza Orzeszkowa. *Chwile.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Kazimierz Gliński. *Cecora.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—T. T. Jeż. *Z ciężkich dni.* Tamże. — Michalina Domańska. *Brzydka.* Tamże. — J. Sielski. *W pół drogi.* Tamże. — Wiktor Gomulicki. *Biała.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — G. Danilowski. *Z minionych dni.* Tamże. — Fr. Rawita. *Złudzenia.* Lwów. Altenberg. — Paweł Bourget. *Widmo.* Przełożyła B. Neufeld. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Karol M. Sheldon. *W jego ślady.* Przełożył W. Szukiewicz. Kraków. Gebethner i S-ka.

Sprawa Dołęgi, przez Józefa Weyssenhoffa. — Jest to próba przedstawienia współczesnej arystokracyi miejscowej, tej „maskarady uchodzącej za hierarchię,“ z jej tradycyjnym urokiem, nowożytnem zatracaniem się kastowem i duchowem nicestwem, z jej obecnym stosunkiem do społeczeństwa i z tkwiącemi w niej możliwościami na przyszłość. — Mówimy *próba,* gdyż mimo niezaprzeczone powaby szczegółów (np. strony portretowej, o ile ta się nie poniża do „zbierania wzorków,“ i krajobrazowej), powieść ta jest daleką od głębi i jednolitości cechujących *prawdziwe dzieła sztuki;* niedomyślana, niedoczuta, przedstawia wszystkie cechy *tworzywa,* nie zaś *stworzenia;* — fazę przejściową krystalizacyi, tę, której czytelnik znać nie powinien, — nie zaś krystalizację ostateczną, zdolną żyć przez stulecia. — Autor, przed tą wielką bryłą surowca, zawahał się uderzyć w nią śmiałym młotem, wyzwolić spętane w niej kształty idei, rzucić nam przed oczy twór żywy, — i od wymagań własnej wizyi wykręcił się ozdobieniem kloca płaskorzeźbami, opowiadaniem nierzadko anegdotycznem, dorywczem zaznaczaniem swoich intencyj, szkicowaniem niedowcielonej Duszy utworu. — Jest nią, a raczej być miała (gdyż w obecnym stanie rzeczy jest to raczej pokutujące widmo), — miłość autora dla świetnej przeszłości rodów magnackich, pragnienie wskrzeszenia jej na nowych podstawach, — *idea magnata - bohatera,* wielkiego - pana - ojca - ludu. — Najpiękniejsze karty powieści zawdzięczają jej swą siłę i dźwięczność rapsodową. — Wnosi ją w świat dystyngowanej pleśni Jan Dołęga, wielki człowiek powieści, a właściwie główna ofiara jej wspomnianej już, zasadniczej wadliwości.—

Ten, w założeniu, żywioł świadomej potęgi, twórczego czynu, inicyatywy, bohaterstwa, — łamie się we dwoje pod narzuconym sobie ciężarem wielkości — i z przeciwnika ideowego schodzi do nędznej roli „repoussoir'u" powieści, którą tem samem obniża z punktu widzenia kompozycyi. — Przeciwstawienie jaskrawsze — jeżeli już koniecznie chodziło o przeciwstawienie — byłoby wydobyło z utworu barwy gorętsze, rytm głębszy, życie mocniejsze. Kto wie jednak, czy do takiej współczesnej „Nieboskiej" starczyłoby wiedzy i skrzydeł autorowi, który, mimo względnie wysoką kulturę i dobry smak, okazuje duże braki w uświadomieniu, dobrowolną niewolę u t. z. „realizmu," — a przytem z niebezpiecznym dla szerokiego rozwoju sybarytyzmem przebywa w atmosferze powierzchownej, luźnej, *fumoir*'owej „obserwacyi." — „Podfilipski" zamykał się w niej prawie całkowicie. — „Sprawa Dołęgi" jest jakby pierwszym krokiem na drodze rozbratu z komfortem literackim i wyżynnych mozołów sztuki jędrnej, odkrywczej, bohaterskiej — na drodze syntezy szczytów. — Takie też tylko, względne, przyszłością zawarunkowane posiada znaczenie.

Utracony ojciec, przez Arne Garborg'a. Przekład niniejszego zawdzięczamy ustalonej u nas firmie autora „U mamy," gdyż osobista zasługa utworu jest względnie żadna, jeżeli weźmiemy pod uwagę cały tłum czekających daremnie na tłomaczenie dzieł obcych wartości pierwszorzędnej. — Jest to dalszy ciąg „Znużonych dusz," a raczej ostateczne wyczerpanie się ich wątka w wyjałowionej jakby i wycieńczonej duszy autora.

Powieść o dwu miastach, przez Karola Dickens'a. — Jedno z mniej znanych dzieł autora. Trzy-tomowy obraz z przed i z czasu wielkiej rewolucyi, żywy, rozedrgany ówczesnem tętnem, jak sztychy z owych lat przechowane; tu i owdzie popsuty zawziętością stronniczą i nacechowany rysami tej tak wymownej indywidualności twórczej. — Przekład bardzo poprawny. Zasługa tłómaczki (p. Hajoty) byłaby zupełną, gdyby nie licha przedmowa, w której polemizuje z fantastycznemi widmami „modernizmu," biorąc w pobłażliwą obronę wielkiego pisarza przed zarzutem *filisterstwa* (!!!) Bylibyśmy pani H. zobowiązani, gdyby, zamiast jałowego sporu z własną wyobraźnią, była wzięła pod uwagę raczej istniejącą już i wyczerpującą literaturę krytyczną o Dickens'ie i w braku własnej syntezy dała skrót tamtych. — Dziwi nas także początkowy aforyzm przedmowy, mianowicie, że *„żadna forma literackiej twórczości nie przeżywa się tak szybko jak powieść."* Jest to „punkt widzenia" czysto *bławatny,* nieznany takim „nouveautes" jak „Satyricon," „Don Kichot,"

„Dekameron,“ „Robinson Kruzoe,“ „Pamiętniki Paska,“ „Guliver,“ „Comédie Humaine,“ „Rouge et Noir“ i t. d. bez końca. — Czyżby pani H. zależało na wejściu do królestwa wieczności wszelakiej hołoty powieściowej? Byłoby to, zaiste, źle zrozumianem miłosierdziem. — Co do dzieł istotnych, — to należą one do chwały wiekuistej niezależnie od kategoryi, w które je wtłacza forma. Należą one wszystkie do nieśmiertelnej kategoryi *dzieł sztuki*. — Tem się tłómaczy i „aktualność“ Dickens'a, którego tłómaczka chce gwałtem *spowinowacić „z dekadentyzmem“*... Jest-że to świadome, więc poniżające, ustępstwo wobec „ostatniego krzyku,“ czy też bezwiedna sugestya okolicznej bezduszności?

Chwile, przez Elizę Orzeszkową. — Dziewięć nowel nierównej wartości, choć w całości nacechowanych wytrawnością wystałego miodu, jego mocą, spokojną gorącością i działaniem — raczej nie na głowę. — „Dymy,“ obrazek wakacyjny świeży i wdzięczny, został popsuty morałem, który ongi oszpecił „Dwa bieguny“ i rzuca cień na uświadomienie tej zkądinąd rzetelnej i niekiedy wysokiej artystki. — „Porcelanka,“ a zwłaszcza „Zagadka,“ mimo zabarwienie feministyczne, tchną czarem prawdziwej poezyi. — „Wśród kwiatów,“ nieco zbyt botaniczne, zwycięża w końcu przedziwnym zapachem żywicznym, kwintesencyą wybornie odczutego boru. W „Weselu Wiesiołka“ zakończenie (śmierć w postaci chłopa z kosą, kładącą kres godom kwiatowym) baśniową poetycznością okupuje antropomorfizm figlarkowy kart poprzedzających. — „Co mówi stary klon“ i „Kiedy u nas o zmroku,“ poza pewnemi zaletami krasomówczemi są dość błahe.— Za to dwie ostatnie nowele — „Moment“ i „Z różnych dróg“ — są perłami zbiorku. — Zwłaszcza „Moment,“ pod względem kompozycyi, głębi i wysokości lotu, należy do najpiękniejszych „momentów“ twórczości autorki, która w tym zwięzłym poemacie symfonicznym rozśpiewala aż pod niebiosa geniusz, przyrodę i nędzę człowieka, przeistaczając lichą mieścinę żydowską z księżycem i pieśnią przygodną w symbol dźwigającej się ku szczytom gehenny.

Cecora, przez Kazimierza Glinskiego. — Kunszt historyczny pociąga ku sobie dwa odrębne typy twórcze: wskrzesiciela i junaka. Pierwszy (np. Flaubert), uzbrojony bezdenną wiedzą i olbrzymią potęgą widzenia, wkopuje się w piramidy przeszłości, by ukazać się nam w prześwietlonych jak alabaster świątyń głazach niby płomienisty duch odrodzonego ich życia. — Drugi, szukający rozkiełznania swej natury, znajduje szerokie pole harców w bujnych i barwnych perspektywach dziejowych i bierze od nich ton i rytm dla bardziej osobistych wypowiedzeń. — Do tych ostatnich należy autor „Ceco-

ry," — co go jednak bynajmniej nie rozgrzesza z win nierówności, pośpiechu, braku należytego przygotowania, oraz posiłkowania się komunałami tradycyi, zamiast przeniknięcia się głębszego jej duchem. Błędy te rażą głównie w scenach rodzajowych i w typach oddzielnych, gdzie przeważa szablon, gruby szkic i oleodruk (Plichta, Adme, Kopyciński, Halszka). Olbrzymia postać Żółkiewskiego narzucała się wyobraźni autora, lecz nie zdołał jej ogarnąć i zgruntować, skutkiem czego sterczy jak wielki znak zapytania. Za to masy wojenne są traktowane z Kossakowskim rozmachem, pstrocizną chorągwianą, fantazyą szlachecką i temperamentem, a bohaterski odwrót wojsk ku Dniestrowi i straszliwa klęska końcowa tchną prawdziwym duchem eposu i godne są stanąć w rzędzie z najtęższemi rozdziałami naszej powieści dziejowej.

Z ciężkich dni, przez T. T. Jeża. — Jedna z lepszych powieści autora. Obraz rodzajowy z czasów Korybuta i Sobieskiego. Krwawy czas kozacko-tatarski w odniesieniu do futorów kresowych. Miniatura pełna życia, szczegółów charakterystycznych (tak drogich autorowi), owiana urokiem dum, tajemniczością tych niedoszukanych po lasach, burzanach i bodiakach gniazd i kryjówek, tętniących życiem dręczonej wojnami rzeczypospolitej. O kilka staj groza Dzikich Pól. — Język twardy, lecz rdzenny. — W wycieczkach dydaktycznych i satyrycznych znać typ umysłowy stempla epoki t. z. „organicznej," który zaczyna brzmieć archaicznie, mieć pewien powab „patyny."

Brzydka, przez Michalinę Domańską. — Zarody cennych zalet: szczerości, prostoty, powściągliwości, zmysłu kompozycyjnego, samoistności. Pragnęlibyśmy rozszerzenia ciasnego horyzontu umysłowego i wrażennego i, co za tem idzie, istotniejszej krystalizacyi wrażeń. — Głębsze znurtowanie treści byłoby autorkę przywiodło do odkrycia, w fatalizmie bohaterki, kwestyi *temperamentu* raczej, niż zewnętrznego wyglądu, a tem samem obaliło wraz z tytułem i panieńską banalność idejki utworu oraz jej przedstawienia.

W pół drogi, przez J. Sielskiego. — Zasadniczy błąd tej ciekawej powieści, jeśli pominąć już jej „kluczykowość," polega na tem, że jest *zajmująca*. Znaczy to, że autorowi chodziło więcej o *zabawienie* czytelnika, niż o *stworzenie rzeczy pięknej*, więcej o tok, o „fabułę", niż o treść wewnętrzną, więcej o anegdotę, niż o formacye duchowe. — Wynikiem a także przyczyną jest *rozproszenie* wrażliwości i umysłu, chwytające pierwsze lepsze środki dla wypowiedzenia swej wizyi, zamiast ją zgęścić, skrystalizować w kształt ściśle odpowiedni, niezmienny. Znamienną jest wypływająca ztąd *bezsilność* autora, który z żywiołów duchowych, bądź co bądź bogatych, i z ich zderzeń

nie umiał wyprowadzić ani jednej nuty dramatycznej lub lirycznej prawdziwie mocnej. — Po za nużącą rozwlekłością opowiadanie to razi jeszcze zbyt mechanicznem wzorowaniem się na szablonie powieściowego przekładańca francuskiego.

Biała, przez Wiktora Gomulickiego. — Książka ta jest wymownem świadectwem spustoszenia, jakiemu twórcza moc artysty poddlega nieuchronnie, gdy się poniży do cudzołóstwa z uprzejmością kompromisową. — Znak od obroży znośnym jest jeszcze na szyi kundla,—lecz przetarte nią kręgi wilcze są widokiem wprost dręczącym.— A jednak takie wrażenie wynosi się z nowel Gomulickiego. — Jest on urodzonym artystą, a przytem świadomym mordercą własnych natchnień, paktującym z armią komunału. — Rasowy instynkt odkrywcy, natura Farysowa, wyraża się w niniejszym zbiorku doborem treści, wyrazistą linią szkicową, stylem kutym misternie; — zaś tresura dziennikarska — zawracaniem Pegaza do stajni u pierwszego rozstrzygającego „wozu, przewozu,“ przebiegłem przyprawianiem garnków glinianych zamiast głów swym zastanawiającym rzeźbom, i akordów kadrylowych swym subtelnym i niepowszednim motywom. — Tak się dzieje w „Białej,“ znakomicie zaczętej i marnie dokleconej historyi odrodzenia duszy padłej. — Tak samo w innej noweli, „Te przeklęte czarne oczy,“ gdzie treść Poe'owską ucina patologia. — „Chałat,“ pełny życia w każdym z osobna okresie, w całości jest bez charakteru, gdyż rozwiązanie zostało jakby umyślnie osłabione. — „Alleluja,“ oparte na ogranej aryi „bankructwa wiedzy,“ mimo tragizm przygody (samobójstwo myśliciela) pozostawia chłodnym i sceptycznym co do szczerości autora. — Nie rozgrzewają również „Kwiaty z lasu,“ proza poetyczna, a raczej upoetyzowana, sztucznie liryczna, bezwonne kwiaty z najpiękniejszej bibuły, strojące martwość ogólników t. z. pesymistycznych.

Z minionych dni, przez G. Daniłowskiego. — Autor nie zdążył jeszcze urodzić się z Żeromskiego, w którego łono popadł z iście niewieścim talentem medyumicznym. Tyczy się to zarówno idei jak nastroju, kompozycyi jak stylu, typów jak efektów, krajobrazu jak psychologii. Tablicy porównawczej, jako łatwo przez każdego dającej się uskutecznić, nie podajemy, zaznaczymy tylko, że o ile Żeromski w Żeromskim przykuwa uwagę, o tyle Żeromski w Daniłowskim nudzi i usypia. — Reszta, którą osiągniemy z działania: „Z minionych dni“ minus „Promień“ i „Ludzie bezdomni,“ jest już niezaprzeczoną własnością autora i przedstawia się jako pogodna i świeża *epiczna* wrażliwość, (skrajnie przeciwległa ponuremu liryzmowi zapożyczonemu u Żeromskiego), lubująca się zwłaszcza w świe-

cie dziecięcym, który z wielkim wdziękiem przedstawiony został w „Nocy Świętojańskiej,“ najlepszym a raczej jedynym dobrym „fragmencie“ powieści. — Autor, po za tem, grzeszy zbytnią ufnością w uczuciowość czytelnika, której każe „dośpiewywać“ za wielkie partye bohaterskie. — Czyżby tenor artysty nie dopisywał w nutach wysokich i chronił się ostrożnie za wrzawą chóru? — Przypuszczeto, mało, zaiste, pochlebne, nasuwa się nieodparcie. Wierzymy bowiem, iż rzeczy najbardziej niewymowne, gdy opanują duszę twórcy z siłą imperatywu, czyli wytworzą w niej jedyny stan godny aktu tworzenia, — muszą znaleźć właściwą drogę wyrazu, symboliczną lub inną, i tę pełnię ekspresyi, do której nieubłaganie dąży wezbrana psyche artysty, gardząca wszelkiemi, choćby najszczytniej opatentowanemi półśrodkami.

Złudzenia, przez Rawitę. — Humor nieszkodliwy, przechodzący chwilami w ciętość satyryczną, niekiedy ginący w spokojnej melancholii („W starej wieży“). Werwa pobieżna, chwytająca tu i tam od niechcenia — źdźbła życia; dyalog wartki, niekiedy twórczy. — Zupełny brak patosu, stałe przebywanie w strefie umiarkowanej, nawet gdy temat potrąca o tragedye i nawet przy skłonności do treści dramatycznej („Andzia,“ „Czy to było,“ „Nastusia“). — Zapach dobroci. — Jednem słowem, organizacya „ogromnie nasza,“ co niestety jeszcze nie pasuje na rycerza sztuki. — W sposobie tworzenia Kraszewszczyzna.

Widmo, przez Pawła Bourget'a, przełożyła p. Neufeld. — Jeden z przeciętnych fabrykatów tego pisarza, — czułostkowo - subtelna „piła,“ pełna „psychologicznej“ zawiłej rozwlekłości, ozdobiona „wynalazkami“ (trouvailles) stylu i myśli. — Skomplikowana, pracowita i nikła budowa, oparta na fundamencie powikłanych misternie sytuacyj namiętnościowych, z dramatem „zagadek“ na parterze, niedopełnionem samobójstwem na pierwszem piętrze i białą chorągwią rezygnacyi praktycznej na dachu.

W Jego ślady, przez Karola M. Sheldona, przełożył W. Szukiewicz. — Powieść na tle propagandy „uczennictwa Chrystusowego“ w Ameryce, — ściślej mówiąc, protokół próby praktycznej „wprowadzenia Chrystusa do business'u,“ z całą podobnych dokumentów oschłą konsekwencyą, uprzyjemnioną bezwiednym i wprost amerykańskim komizmem parlamentarnego spotkania się betleemskiej poezyi ewangelizmu z kupiecką trzeźwością Yankesów. — Charakterystyczne dużą siłą moralną i zupełnym brakiem metafizyczności oraz artyzmu i wyobraźni, której nie potrafiły rozruszać takie prometejskie i pod nosem leżące tematy jak olbrzymie masy ludowe ame-

rykańskie, sfera działań propagandy, — i jak łamanie się instynktów kupieckich z imperatywem miłosierdzia, rehabilitacyi bezwzględnej.

Włast.

SZTUKI PLASTYCZNE.

Kolekcyonerstwo dzieł sztuki — wszystko jedno, czy to ekskluzywnie, zazdrośnie miłośnicze, czy ekspansywnie, szeroko pedagogiczne, czy nawet wyraźnie handlowe, pośredniczące — *o ile tylko nie idzie biernie za modą, reklamą, popytem czy rozgłosem, lecz opiera się na samodzielnem, głębszem znawstwie i zamiłowaniu gorącem*, jest zawsze i wszędzie, nawet w krajach posiadających bogate muzea i galerye publiczne, niesłychanie dodatnim czynnikiem kulturalnym. Żywym tego przykładem i dowodem jest Paryż. Mimo wspaniałych muzeów, Luwru, Luksemburgu i innych, mimo corocznych oficyalnych, liczebnie jak nigdzie bogatych salonów i wystaw, mimo coraz nowych artystycznych urzeczywistnień na wielką skalę, monumentalnych budowli, pomników, fresków i t. p., — międzynarodowa stolica nadsekwańska nie byłaby takiem jedynem w świecie ogniskiem ruchu artystycznego, gdyby nadto nie miała swoich — nazwiska biorę pierwsze lepsze — Goncourt'ów i Duret'ów, Hayem'ów i Caillebotte'ów, Durand-Ruel'ów i Vollard'ów, i wielu, wielu im podobnych. Dzięki tymto znawcom i zbieraczom zapalonym rozwinęła się — rzec można śmiało — cała nowa sztuka francuzka, dzięki im wywalczyły sobie prawo do życia nowe kierunki i nowe indywidualności, odpychane uparcie przez oficyalne salony i galerye, dzięki im francuzka krytyka artystyczna mogła wydobyć się z formułek i rutyn akademickich, a nie wpaść jednocześnie we frazeologię bez treści, dzięki im każdy inteligentny paryżanin czuje dziś tak samo potrzebę posiadania lub przynajmniej widzenia dobrego obrazu czy rzeźby, jak dotąd czuł potrzebę pójścia na koncert czy do teatru, lub przeczytania książki. Muzeum luksemburskie, mające reprezentować dzieje sztuki współczesnej, niewytłómaczonemi i oburzającemi świeciłoby lukami, gdyby nie taki Caillebotte, który, wbrew niechęciom, przemocą niejako wcisnął do niego przepyszny zbiór impresyonistów, albo taki Hayem, który królewsko obdarzył je kilkudziesięciu wspaniałemi utworami Gustawa Moreau. Kto dziś jeszcze chce zobaczyć większą ilość doskonałych Manet'ów czy Puvis de Chavannes'ów, idzie nie do żadnego muzeum, lecz do Durand-

Ruel'a, a kogo zaciekawiają usiłowania najnowsze, ten już pod żadnym pozorem nie powinien ich szukać w salonach urzędowych, lecz u zbieraczy prywatnych i u zamiłowanych, stylowych kunsthandlerów, którzy rozsiedli się na stokach wzgórza montmartre'skiego. — I społeczeństwo zatem, i krytyka (*resp.* historya sztuki), i sztuka sama — nader wiele mają kolekcyonerstwu do zawdzięczenia. Zapewnia ono artystom (zwłaszcza zaśmiałym i przeto nieuznawanym przez czas dłuższy nowatorom) zbyt prac, a więc spokój materyalny, konieczny do dalszego tworzenia; zapobiega bezładnemu rozpraszaniu się dzieł sztuki, skupia je w grupy o mniej lub więcej wyraźnej myśli przewodniej i ułatwia przez to ogólniejsze krytyczne rzuty oka na pewne całości; promieniuje wreszcie naokół, powolniej lub szybciej, lecz niewątpliwie — i niepodobna wprost obliczyć jego wpływu na wzrost, w coraz szerszych warstwach społecznych, tych tak bezużytecznych z ciasno praktycznego punktu widzenia, lecz tak niewymownie uszlachetniających, powiedziałbym: uczłowieczających potrzeb i zamiłowań estetycznych. — Cóż dopiero mówić o znaczeniu kolekcyonerów i kolekcyonerstwa tam, gdzie niemasz muzeów, galeryj, pomników, budowli monumentalnych, wszystkiego, jednem słowem, co kształci wrażliwość estetyczną ogółu, a malarzom i rzeźbiarzom daje pole do pracy; gdzie nietylko z publiczności, ale i z pośród artystów mało kto widział czy to arcydzieła czasów minionych, czy najnowsze świetne realizacye w dziedzinie sztuk plastycznych; gdzie krytycy dziennikarscy najdziksze, najbezmyślniejsze szerzą o sztuce wyobrażenia; gdzie śród ogółu zupełna panuje względem niej obojętność; gdzie ludzie, jak mówi Norwid, „zaledwie biernie albo wypadkiem obznajmiają się z tym przedmiotem“? Tam zbiory prywatnych znawców i miłośników zastąpić muszą wszystko, muszą stać się jedyną ostoją sztuki, jedyną podporą artystów, jedyną nadzieją i zarodkiem jakichś przyszłych muzeów czy galeryj publicznych, jedynem źródłem kultury artystycznej. Rzecz prosta wszakże, iż nastąpić to może o tyle, o ile kolekcyonerzy zdadzą sobie sprawę z niezwykłego, wyjątkowego położenia i zrozumieją konieczność wyjątkowego również rozszerzenia swej działalności normalnej, a przedewszystkiem nieodzowność udostępnienia swych kolekcyj do najmożliwszych granic. Niemiło, to prawda, wynosić rzeczy, które się kocha i czci, na wrzawliwy i gruboskórny rynek. Uwagi, sądy, dowcipy niekulturalnego, a skutkiem dresury dziennikarskiej śmiesznie zarozumiałego tłumu przykro nieraz urazić mogą najgorętsze umiłowania znawcy-zbieracza. Cofać się jednak przed tem niewolno, choćby ze względu na zgubioną śród obojętnej czy naigrawającej się

publiczności garstkę pragnących, dla których szlachetny zbiór dzieł sztuki będzie snadź czekanem objawieniem, skrzepieniem dusznem, podnietą twórczą. To jest właściwy posiew na przyszłość, dla którego wiele znieść warto. Co do mas — kulturę ich zostawić trzeba czasowi. Od owych nielicznych iść będą niby coraz szersze koła na wodzie — i stworzy się ona, o ile to wogóle możliwe, zwolna i mimowiednie. Wszelkie gwałtowne i niecierpliwe prozelityzowanie wytwarza snobów jedynie. Na początek dość, jeśli w szerszych warstwach zbudzi się zaciekawienie i choćby powierzchowne zajęcie.

(Dokończenie). Z. P.

VARIA.

Wydanie zbiorowe utworów ś. p. Kazimiery Zawistowskiej ukaże się, dzięki staraniom brata zmarłej poetki, p. J. Jasińskiego, który wespół z p. Wł. Perzyńskim uporządkował puściznę rękopiśmienną, — za kilka tygodni. Korzystając z dobrej woli wydawcy, jesteśmy w możności dać czytelnikom naszym wybór tych niezwykle pięknych poematów w niniejszym i następnym zeszycie *Chimery*.

Franciszek Wojtala, nader zdolny artysta rysownik, po niedługiem, lecz, o ile wiemy, bardzo ciężkiem życiu, zmarł w Monachium. Jeszcze jedna, zda się, ofiara „kalwaryj sztuki," na których ginie, bez pomocy, współczucia i uznania, tylu naszych młodych artystów. — Ukończywszy t. zw. Kunstgewerbeschule, nieboszczyk poświęcił się wyłącznie rysunkowi zdobniczemu. Miał wielkie poczucie linii, plamy, ornamentu, a zwłaszcza w inicyałach głębokotwórczym wprost okazywał się artystą. Niezadługo przed ostatnią chorobą zmarłego, zdołaliśmy wejść, z nim w stosunki, i pozyskane wówczas dla *Chimery* inicyały będą może jedynemi jego pracami, jakie doszły do kraju, gdzie rysunek zdobniczy był oddawna zupełnie prawie ignorowany. Z kilku listów, które odebraliśmy wtedy od ś. p. Wojtali, pozostało nam wrażenie natury jędrnej, krzepkiej, po której, przy bardziej sprzyjających okolicznościach, wiele spodziewać się było można. Żegnamy go z żalem szczerym serdecznemi słowy.

Adolf Dygasiński

ur. w Niegosławicach r. 1839 — zm. w Grodzisku d. 3 czerwca 1902.

W epoce, która zgasiła, zda się, wszelkie zapały szczere i bezinteresowne, był entuzyastą do głębi serca i do ostatniej życia chwili. Na wrzawliwem targowisku literacko - dziennikarskich egoizmów, spółzawodnictw, obłud i kompromisów, zachował do końca czystość duszy, prawość charakteru, męzką odwagę i szlachetną otwartość. Jako twórca, miał — że użyjemy słów Guyau — wieczną nowość wyobraźni, wieczną świeżość wrażeń, wieczne dziecięctwo duszy, których tryumf — czasem świadomy, częściej bezwiedny — nad zacieśniającemi widnokręgi, takiemi czy innemi doktrynami obdarzał wszystkie, nawet mniej doskonałe jego rzeczy jakiemś dziwnie rosistem tchnieniem życia. Jako artysta, nie uważał nigdy literatury za fach, za rzemiosło, za sposób zarobkowania, nie pisał nigdy „jak maszyna", dawał tylko wtedy, gdy miał co do dania, tworzył tylko, nigdy nie „po-tworzyl." — Dla tego, do końca pozostał młodym; dla tego, u schyłku żywota mógł zbogacić piśmiennictwo jednym z najpiękniejszych swych poematów, owemi bojanowsko prostemi, a tak bezbrzeżnie i bezdennie, jak życie samo symbolicznemi „Godami życia;" dla tego, nie potrzebował — jak pewni „starzy," z trwogą i niechęcią patrzący, z punktu widzenia misy, na powstawanie nowych pokoleń twórczych — obawiać się ich nadejścia; dla tego, drogim nam był i blizkim zawsze, droższym może i bliższym niż niejeden z rówieśnych; dla tego szczyciliśmy się, że ostatni zamierzony swój utwór (owe wspaniałe „Dęby," których, niestety, już nie dokończył) zechciał *Chimerze* przyobiecać; dla tego, gdy odchodził, z głęboką i serdeczną żegnaliśmy go żałością. — Inni wdzięczni mu byli, lub wdzięczność byli winni, za zasługi naukowe, pedagogiczne. publicystyczne, obywatelskie, — my czciliśmy go i kochali jako rzadki wzór pełnego, jednolitego w życiu i w twórczości człowieka, oraz jako twórcę wielkiego, nowego, samoistnego, ciągle naprzód i ciągle w głąb' się posuwającego. Był to jedyny może w swoim rodzaju malarz i piewca *życia,* — nie chłopów, nie zwierząt, lecz życia, jednego, powszechnego, wszystko ogarniającego, przelewającego się

jednako przez wszystkie zjawiska i będącego najwyrazistszem snadź uzewnętrznieniem i najlepszym dowodem jedności bytu. Pierwsze „nowele zwierzęce,“ w których Dygasiński wyprzedził różnych sławnych Kiplingów, a które w swoim czasie takie u nas wywołały zdumienie, że jeden *Przegląd Tygodniowy* śmiał je drukować, były niegorszemi, może lepszemi od Kiplingowskich obrazami bardzo pulsującej, pozwalającej wyczuwać ukryte głębie, ale jednak zewnętrznej raczej strony życia. Mnogość zjawisk zasłaniała jeszcze prąd jedyny i powszechny, za szczegółami ginęła poniekąd istota rzeczy — i ztąd, przy współdziałaniu doktryn przejściowych, powstawać mogły pewne zbłąkania się na migotliwej zdarzeń powierzchni, pewne omyłki we wnioskach i uogólnieniach, pewne płytkości w teoretycznym światopoglądzie, których przykładem jest, dajmy na to, ów słynny, acz co chwila w mimowolnych z dna duszy błyskach zaprzeczenie znajdujący pesymizm Dygasińskiego. Ale gdy różni Kiplingowie pozostali w miejscu, nie zdołali wyjść z granic jakiejś aposteriorycznej, ku zewnętrzności raczej zwróconej *psychologii* życia, on rozrósł się niby dąb krzepki, spotężniał, wyogromniał, ramiona wyciągnął aż ku słońcu, korzenie zapuścił aż ku dnom, aż ku praźródłom życia, aż ku jego istocie; gdy oni zatrzymali się w pewnej, bądź co bądź, anegdotycznej opowiadawczości, w sferze zmiennych i przemijających faktów, on, odsłaniając, przez cudownie intuicyjną, eliminującą wszelkie zbyteczne szczegóły syntezę, wiekuisty, jedyny, niezmienny prąd życia, w eposowy, — co mówię? — w przedhomeryczny jakiś, orfeuszowski czy bojanowski uderzył ton, w którym prostota największa z największą wiąże się głębią. — I dostaliśmy „Gody Życia,“ ten ostatni testament autora, ten klucz do całej jego twórczości, do całej jego duszy, ten hymn promienny, „otwierający Życiu dłonią przeczystą bramy nieśmiertelności...“ — I żal milknie, bo żyje ten, co pieśń taką dał, i w duszy wzbiera podziw i radość, radość słoneczna...

CHIMERA.

CHIMERA

revue mensuelle de litterature et d'art.

22, rue Nouveau Monde, Varsovie.

Sommaire du N-ro 13.— Juillet 1902.

TEXTE: Cyprien Norwid—*le Silence;* C. Zawistowska—*Choix de poésies;* M. Komornicka—*La possedée;* Th. Miciński—*le Crépuscule des étoiles;* J. P. Jacobsen—*le Docteur Faust; Ici devraient fleurir les roses;* deux *Arabesques;* H. Marcinowska — *Dans les abîmes;* J. Zeyer — *La maison „à l'etoile submergée";* G. Pascoli — *l'Immortalite, Felicitas, le Livre;* E. Hello — *la Ville où l'on n'a pas le temps, les Grands Hommes;* J. Lemański — *les Voisins, fable ironique.* — Revue du mois: *Glosses, les Poèmes, les Romans, Art plastique, Divers.*

PLANCHES HORS TEXTE: l'Adoration des Rois, peinture du maître inconnu de l'ecole corporative de Cracovie (XV siecle), reproduite en phototypie chez B. Wierzbicki et C-ie à Varsovie.

DESSINS DANS LE TEXTE—de Aubrey Beardsley, Hokusai, Korin, E. Okun, M. Wawrzeniecki, Fr. Wojtala.

COUVERTURE de J. Mehoffer.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. p.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.

ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

CHIMERA

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY SZTUCE I LITERATURZE

Warszawa — Nowy Świat 22. — Skrzynka pocztowa Nr. 457.

REDAKTOR: ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM) przyjmuje w *piątki* od 2 do 4 pp.; ADMINISTRACYA otwarta *codzień* od 2 do 6 pp.

PRZEDPŁATA w r. 1902 przyjmuje się **na wydanie zwykłe:** tylko

	w Warszawie	z przes. poczt.	za granicą
półroczna (od lipca do stycznia)	**5** rb.	**6** rb. **50** k.	**20** fr. **15** mar. **18** kor.
lub kwartalna	**3** rb.	**3** rb. **50** k.	**11** fr. **8** mar. **10** kor.;

na **wydanie wytworne,** tylko półroczna: w Warszawie **15** rb., z przesyłką pocztową **17** rb. **50** kop., za granicą **50** fr., **40** mar., **45** kor.

Cena zeszytu niniejszego rb. 2.

ROCZNIK PIERWSZY CHIMERY zawiera:

W DZIALE POEZYI: UTWORY ORYGINALNE — St. Barącza, St. Brzozowskiego *(wybór)*, Campanelli, J. Jedlicza, Jana Kasprowicza *(Moja pieśń wieczorna, Salve Regina, Hymn św. Franciszka z Assyżu, Judasz)*, M. Komornickiej, J. Krobickiego, J. Lemańskiego *(Sonety i Bajki)*, B. Lesmiana, E. Leszczyńskiego, K. Lubeckiego, M. Markowskiej, T. Micińskiego, Wł. Nawrockiego, Cypryana Norwida *(List do Walentego Pomiana Z.)*, H. Ochenkowskiego, Br. Ostrowskiej, Wł. Perzyńskiego, J. Ruffera, Juliusza Słowackiego *(Niewydane waryanty do Króla Ducha)*, L. Staffa, W. Sterlinga, M. Wikszemskiego, K. Wroczyńskiego, St. Wyrzykowskiego, K. Zawistowskiej, H. Zbierzchowskiego, M. Zbrowskiego — oraz *PRZEKŁADY:* ze starych ballad ludowych skandynawskich, angielskich i szkockich (tłóm. E. Porębowicz), z T. de Banville'a -*(wybór*, tłóm. Miriam), z Campoamora *(Licencyat Torralba*, tłóm. A. Lange), z Coleridge'a *(Pieśń o starym żeglarzu*, tłóm. J. Kasprowicz), z A. Giraud'a *(Rondele fantastyczne*, tłom. Miriam), z J. Keats'a *(Hyperion*, tłóm. J. Kasprowicz), z J. Rodenbacha (*wybór*, tłóm. El-ka), z J. Zeyera *(Na Synai*, tłom. Miriam);

W DZIALE DRAMATU: C. Norwida—*Wanda*; hr. de Villiers de l'Isle Adam'a—*Axel*; Chr. D. Grabbego—*Żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie*; A. Gide'a—*Filoktet*;

W DZIALE PROZY EPICKIEJ: UTWORY ORYGINALNE —W. Berenta (*Próchno*), Z. B. Bytkowskiego, Z. Dębickiego, M. Komornickiej, T. Micińskiego, C. Norwida (*Ad leones*), St. Przybyszewskiego (*Fragmenty z „Synów ziemi"*), W. Reymonta (*Komurasaki*), St. Wyrzykowskiego, M. Zawiejskiej: oraz *PRZEKŁADY:*—z Andersena, J. Eekhouda (*Chwała Lutterathu*), Wł. Garszyna *(Attalea Princeps)*, A. Gide'a *(Prometeusz źle spętany)*, J. Schlafa *(Pieśń)*, M. Schwoba (*Krucyata dziecieca)*, W. Stefanyka;

W DZIALE PROZY MYŚLOWEJ — rozprawy i studya: O. Brzeziny (*Tajemnicze w sztuce)*, A. Böcklina (*Wyznania*), Fr. Nietzschego (*Dusza dostojna* i *Fragmenty z Zaratustry)*, Z. Przesmyckiego *(Los geniuszów, Walka ze sztuką, Drzeworyt japoński, J. A. Rimbaud)*; wreszcie stała *KRONIKA MIESIĘCZNA*, omawiająca objawy w literaturze, sztukach plastycznych, teatrze i muzyce;

W DZIALE SZTUKI PLASTYCZNEJ:

PLANSZE OSOBNE — Aubrey Beardsley *(Tannhäuser wracający na Venusberg)*, Fr. Bilek (*głowa Zeyera)*, A. Dürer (*dwa rysunki z „Apokalipsy")*, A. Gierymski *(Plac Maksymiliana w Monachium)*, Kuniyoshi *(Gra o stawkę)*, G. Moreau *(Chimera)*. F. Rops (*Wielka lira)*, J. Stanisławski (litogr. kolorowe. — *Kościół św. Marka, Villa d'Este, Topole)*, Utamaro *(Kobieta z lusterkiem)*, St. Wyspiański *(Apollo)*;

RYSUNKI OKŁADKOWE — St. Dębickiego, K. Krzyżanowskiego, J. Mehoffera, E. Okunia (dwa), M. Wawrzenieckiego, M. Wisznickiego; oraz

OZDOBY I RYSUNKI W TEKŚCIE — J. Auchentallera, St. Dębickiego, A. Donnay'a, Hiroshige'a, Hokusai'a, G. Klimta, G. Khnopffa, Korina, St. Krzyształowicza, Kuniyoshi'ego, J. Mehoffera, A. Mosera, T. Noskowskiego, E. Okunia, J. Pieńkowskiego, F. Ropsa, Shiokoku, Fr. Siedleckiego, J. Stanisławskiego, Utamaro, F. Vallotona, M. Wawrzenieckiego, M. Wisznickiego, Yosai'a.

Po cenie prenumeracyjnej nabywać jeszcze można przez czas niejaki:

całość rocznika 1-go (tomy 1—4) — w Warsz. za rb. **9,** z przes. za rb **12**—;
drugie półrocze (tomy 3 i 4-ty) — „ „ **5,** „ „ **6,50.**
Zeszyty oddzielne, po cenie oznaczonej na każdym, — **tylko z kwartałów 2-go, 3-go i 4-go; kwartał 1-szy wyczerpany.**

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.